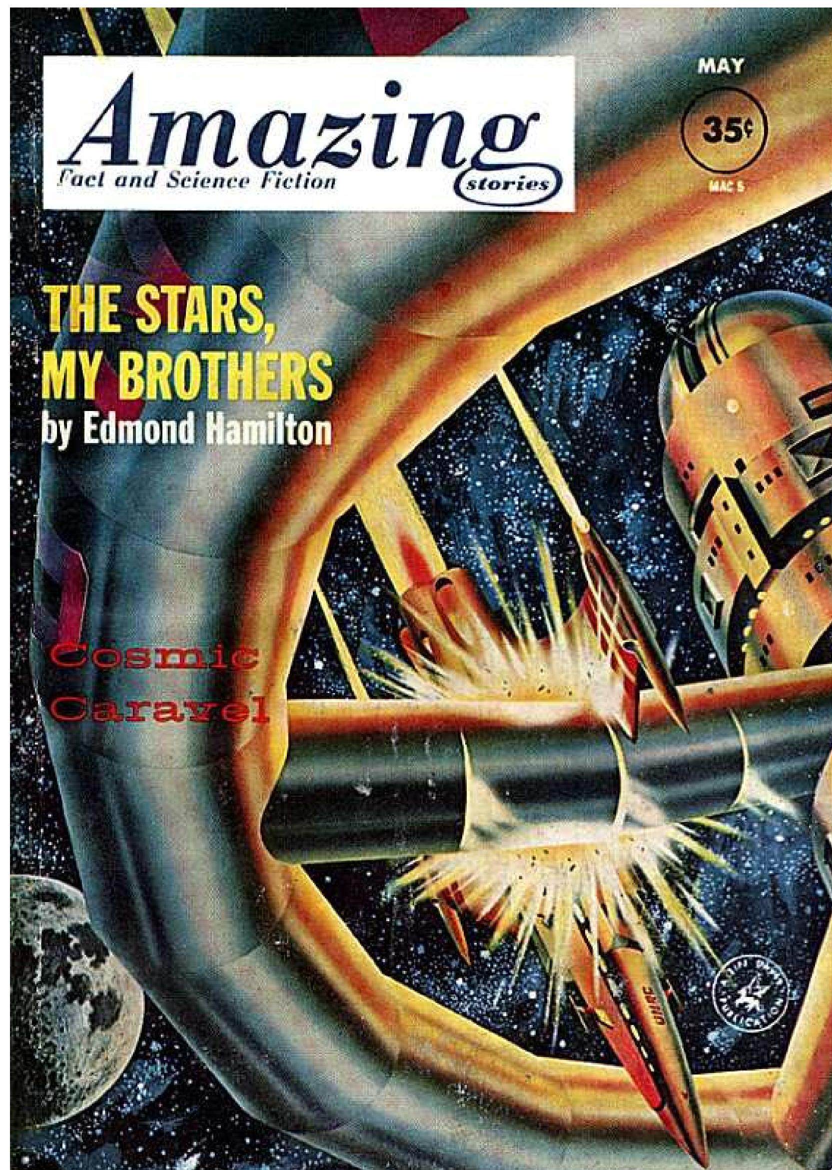
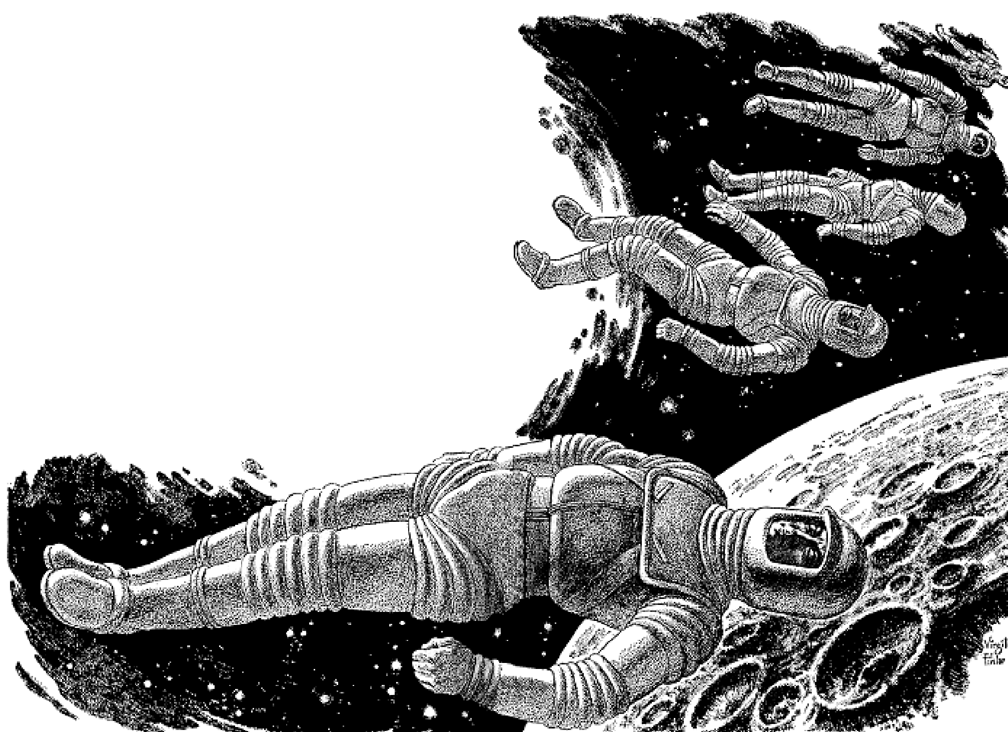

MAY
Amazing
Fact and Science Fiction
stories
35¢
MAC 5
THE STARS,
MY BROTHERS
by Edmond Hamilton
Cosmic
Caravel

Edmond Hamilton

Gwiazdy moje siostry

(The Stars My Brothers)

Amazing Stories Fact and Science Fiction, May 1962.
Ilustracje: Virgil Finlay.
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz



Obawiał się, nie chwili obecnej lub przyszłości, ale przeszłości. Obawiał się rzeczy oznaczonej jako Reed Kieran, tej sztywnej, ślepej i pozbawionej głosu rzeczy, z wolna krążącej po swojej orbicie wokół Księżyca, towarzysza martwych światów i cichego kosmosu.

1

Źle zadziałała jakaś naprawdę niewielka rzecz, ale nikt już się nigdy nie dowie, czy był to jakiś przekaźnik elektryczny, czy też coś w mózgu pilota.

Pilotem był porucznik Charles Wandek, UNRC, adres: 1677 Anstey Avenue, Detroit. Nie przeżył uderzenia promu w Wheel Five. Podobnie zresztą, jak jego trzech pasażerów, młody francuski astrofizyk, ekspert od pól magnetycznych z Indii i czterdziestopięcioletni mężczyzna z Filadelfii, lecący by zastąpić technika od pomp.

Kolejną osobą, której nie udało się przeżyć był Reed Kieran, jedyny człowiek z samego Wheel Five, który zginął. Kieran miał trzydzieści sześć lat i był akredytowanym pracownikiem naukowym UNRC. Adres: 815 Elm Street, Midland Springs, Ohio.

Kieran, pomimo tego, że był zatwardziałym kawalerem, na Wheel Five znalazł się z powodu kobiety. Kobieta, która go tutaj wysłała, nie była jednak jego piękną zaginioną narzeczoną. Nazywała się Gertrude Lemmiken, miała dziewiętnaście lat, pokaźną nadwagę i grubą, nacechowaną głupotą twarz. Cierpiała na katar sienny i podczas zajęć w college’u w Ohio, gdzie Kieran prowadził zajęcia z kursu Fizyki 2, nieustannie pociągała nosem.

Pewnego marcowego poranka. Kieran nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Powiedział sobie: „Jeśli dzisiaj rano ona znowu będzie pociągać nosem, kończę z tym wszystkim. Składam rezygnację i wstępuję do UNRC”.

Gertrude oczywiście pociągała nosem. Sześć miesięcy później, po ukończeniu szkolenia w United Nations Reconnaissance Corps, Kierana wysłano aby pełnił służbę w UNRC Space Laboratory Number 5, w bardziej familiarny sposób określanym, jako Wheel Five.

Wheel Five krążyło wokół Księżyca. W roku 1981, o którym mówimy, na powierzchni Księżyca znajdowała się pieczołowicie zaprojektowana baza. Było tam również szereg laboratoriów i obserwatoriów. Stwierdzono jednak, że występujące na powierzchni Księżyca, naprzemiennie co dwa tygodnie, okresy silnego gorąca i równego niemal zeru bezwzględnemu zimna, mogą powodować błędne działanie delikatnych instrumentów, używanych w pewnych badaniach. Dlatego właśnie zbudowano Wheel Five, obsadzone przez ekipę badawczą, zmieniającą się w regularnych, ośmiomiesięcznych przedziałach czasu.

****

Kieran od początku pokochał to wszystko. Myślał, że stało się tak z powodu surowego piękna jakie tam panowało, jałowej srebrnej trupiej czachy Księżyca, nieustannie obracającej się w dole, cichej i majestatycznej chwały niczym nie przyćmionych gwiazd, rozciągających się w warkoczach pomiędzy odległymi skupiskami gwiezdnymi, jak lśniący welon, milcząco, spokojnie.

Kieran miał jednak w sobie pewną elementarną uczciwość intelektualną i po chwili przyznawał w duchu, że to jednak nie piękno, ani romantyzm scenerii czynił życie na stacji tak dla niego atrakcyjnym. Przede wszystkim chodziło o to, że był daleko od Ziemi. Nie musiał się jej nawet przyglądać z góry, ponieważ wszystkie badania geofizyczne prowadzone były na Wheel Two i Three, które okrążały macierzystą planetę. Mógł niemal kompletnie oderwać się od wszystkich pozostawionych na Ziemi problemów i ludzi.

Kieran lubił ludzi, ale zawsze miał poczucie tego, że nie jest w stanie ich zrozumieć. To co wydawało się dla nich takie istotne, te wszystkie siły napędzające zwykłą, codzienną

egzystencję, nigdy nie były specjalnie ważne dla niego. Uważał więc, że to z nim musi być coś nie tak, że czegoś mu brakuje, ponieważ zawsze wydawało mu się, że ludzie tak powszechnie angażujący się w najdziwaczniejsze szaleństwa, wierzący w najbardziej niewiarygodne rzeczy, popychani byli poprzez instynkt stadny w najczystszej postaci, do najbardziej szkodliwych czynów i wzorców zachowania. Ponieważ wszyscy oni nie mogli się gremialnie mylić, a więc to on musi być w błędzie, a to go zawsze martwiło. Częściową ucieczkę znalazł w zagłębieniu się w czystą naukę, ale studiowanie, a potem nauczanie astrofizyki, nie dawało tak dobrego schronienia jak Wheel Five. Trudno mu będzie opuścić Wheel, kiedy nadejdzie jego czas na zmianę.

Nie mylił się, rzeczywiście tak było, kiedy nadszedł ten czarny dzień. Pozostali odlatujący członkowie zespołu, już dawno zebrali się w śluzie doku, w obręczy, czekając na powitanie przybyłych promem zmienników. Kieran, wręcz nienawidzący myśli o wyjeździe, pozostał z tyłu. Wtedy jednak, rozumiejąc że niegrzecznością byłoby nie spotkać się z młodym Francuzem, który miał go zastąpić, kiedy zobaczył zbliżający się prom, pośpieszył korytarzem biegnącym w środku potężnej szprychy.

Pokonał już mniej więcej dwie trzecie drogi wzdłuż szprychy i zbliżał się do obręczy, kiedy właśnie to się stało. Poczuł straszliwe uderzenie, które gwałtownie zwaliło go z nóg. Poczuł zimno, nagłe i straszne.

Umierał.

Umarł.

Prom zbliżał się do stacji, wykonując całkowicie normalne podejście, kiedy zawiódł jakiś niewielki element w samym statku albo w ocenie pilota. Jego rakiety napędowe nagle odpaliły pełnym ciągiem, przechylił się ostro i uderzył z prawej strony w wielką szprychę, wchodząc w nią jak nóż w masło.

Wheel Five cała się zatrzęsła, zakołysała i szarpnęła mocno w bok. Wszystkie grodzie bezpieczeństwa zatrzasnęły się automatycznie, i sekcja wielkiej szprychy — Sekcja T2 — była jedyną częścią stacji, z której uleciało powietrze, a Kieran był jedynym człowiekiem, który się w niej znajdował. Alarmy stopniowo ucichły, ale ponieważ wrak promu, z czterema martwymi ludźmi na pokładzie, ciągle dryfował w pobliżu, wszyscy we Wheel Five pozostawali w swoich skafandrach ciśnieniowych, a procedury alarmowe działały z pełną mocą.

****

Po mniej więcej trzydziestu minutach, stało się już oczywiste, że Wheel Five przetrwa ten wypadek. Stacja przesuwała się z wolna, wybita ze swojej orbity przez impet uderzenia, i biorąc pod uwagę obecny kiepski stan jej osłabionej konstrukcji, do zatrzymania tego dryfu nie można było użyć małych silników korekcyjnych. Jednak Meloni, kapitan UNRC dowodzący stacją, otrzymał już pierwsze raporty od zespołów kontroli uszkodzeń, i sprawy na szczęście nie wyglądały tak źle. Zdążył już przesłać bezwzględne żądania odnośnie materiałów naprawczych, jakie będą potrzebne, i został zapewniony przez Kwaterę Główną UNRC w Mexico City, że promy zostaną załadowane i wysłane na górę, najszybciej jak to tylko będzie możliwe.

Meloni właśnie zaczynał czuć niewielkie odprężenie, kiedy pewien młody oficer spowodował powstanie drobnego, ale irytującego problemu. Porucznik Vinson dowodził małą grupą ludzi, wysłaną po to, aby odzyskać ciała czterech zmarłych ludzi. Ubrani w skafandry kosmiczne, przez dłuższy czas musieli przedzierać się przez poskręcany złom pozostały po katastrofie, i składając swój raport Vinson był mocno zmęczony.

– Mamy ich wszystkich obok stacji, sir. Czterech ludzi w promie zostało bardzo poważnie pokiereszowanych w katastrofie, sir. Kieran nie odniósł fizycznych obrażeń, ale zmarł na skutek działania próżni kosmicznej.

Kapitan wpatrywał się w niego ze zdziwieniem.

– Obok? Dlaczego nie wnieśliście ich do środka? Wrócą jednym z promów, żeby ich pochować na Ziemi.

– Ale… – zaczął protestować Vinson.

Meloni ostro przerwał.

– Musi pan się jeszcze nauczyć paru rzeczy na temat morale, panie poruczniku. Czy myśli pan, że dobrze to wpłynie na morale, jeśli będziemy mieli pięciu martwych ludzi unoszących się obok stacji, tam gdzie każdy może ich zobaczyć? Proszę ich zabrać i umieścić w jednej z ładowni.

Vinson, teraz mocno spocony i nieszczęśliwy, miał już przed oczyma widok czarnej plamy na swojej kartotece, z determinacją więc próbował przedstawić swoje stanowisko.

– Ale co z Kieranem, sir. On został tylko zamrożony. Być może są pewne szanse, aby go przywrócić z powrotem do życia.

– Przywrócić z powrotem do życia? O czym, u diabła, pan mówi?

Vinson odparł:

– Czytałem gdzieś, że próbuje się znaleźć metodę przywracania do życia ludzi, którzy zostali zamrożeni w próżni kosmicznej. Jacyś naukowcy, tam na dole, na Uniwersytecie w Delhi. Jeżeli udało im się to zrobić, oraz gdybyśmy pozostawili Kierana w kosmosie…

– Och, do diabła, to tylko jakaś mrzonka naukowców! Nigdy nie uda im się tego zrobić! – gniewnie przerwał mu Meloni. – Ta cała sprawa, to tylko teoria.

– Tak jest, sir – powiedział Vinson, zwieszając głowę.

– Mamy tu wystarczająco dużo kłopotów, bez zajmowania się jakimiś pana wymyślnymi pomysłami – kontynuował kapitan, ciągle gniewnym tonem. – Jazda mi stąd!

Vinson wyglądał na kompletnie zdruzgotanego.

– Tak jest, sir. Sprowadzę ciała do środka.

****

Wyszedł. Meloni gapił się na drzwi, i powoli zaczął myśleć. Dowódca musi się zabezpieczyć, albo obedrą go żywcem ze skóry. Jeśli istnieje jakaś choćby minimalna szansa, że ten pomysł z Delhi w ogóle może działać, to on, Meloni, jeśli rozkaże pogrzebać Kierana, zostanie zjedzony bez soli. Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież, w myślach przeklinając smarkacza, który wywołał tę całą aferę.

– Vinson! – krzyknął za nim.

Porucznik odwrócił się w jego kierunku, z zaskoczeniem:

– Tak jest, sir?

– Zostaw ciało Kierana na zewnątrz. Sprawdzę to z Mexico City.

– Tak jest, sir.

Nadal rozdrażniony, Meloni pchnął wiadomość do Kadr w Mexico City. Zrobiwszy to zapomniał o całej sprawie. Piłeczka została przerzucona na cudze podwórko. Niech chłopcy, siedzący na tyłkach, tam na dole, na Ziemi, dalej już się tym zajmują.

Człowiekiem, do którego trafiła wiadomość wysłana przez Meloniego, był zastępca szefa Działu Kadr UNRC, pułkownik Hausman. Kiedy ją przeczytał, parsknął głośnym śmiechem. A potem, idąc złożyć raport Garcesowi, brygadierowi dowodzącemu Kadrami, wziął wiadomość ze sobą.

– Meloni musiał wpaść w niezły szok, z powodu tego wypadku – powiedział. – Spójrz tylko na to.

Garces przeczytał wiadomość, a potem spojrzał w górę.

– Czy mamy coś o tym? To znaczy, o tych eksperymentach w Delhi?

Hausman zadbał o to, by otrzymać skrótową informację na ten temat, mógł więc zdecydowanie odpowiedzieć:

– Diabelnie mało. Ci faceci, w Delhi, zajęli się zamrażaniem owadów, a potem ich rozmrażaniem. Wydaje im się, że ten proces może być dalej rozwijany, tak by kiedyś w przyszłości można było przywracać do życia zamrożonych astronautów. Na razie jest w tym jeszcze bardzo wiele pytań. Przypiekę Meloniemu tyłek, za zgłaszanie takiego pomysłu, w tym momencie.

Garces po chwili jednak pokręcił głową.

– Nie, zaczekaj. Pozwól mi trochę nad tym pomyśleć.

Przez kilka chwil wpatrywał się w zadumie w okno. Potem powiedział.

– Wyślij Meloniemu wiadomość, że ciało tego gościa — jak on się nazywał, Kieran? — ma pozostać w przestrzeni kosmicznej, w nadziei na ożywienie go w przyszłości.

Hausman prawie pobazgrał sobie notatnik, wołając:

– Na litość Boską… – W samą porę jednak zdołał się powstrzymać i dodał. – Ale to może potrwać nawet parę stuleci, zanim proces rewitalizacji zostanie dostatecznie udoskonalony, jeżeli w ogóle uda się to kiedykolwiek zrobić.

Garces przytaknął głową.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie bierzesz pod uwagę psychologicznego punktu widzenia, który może być przydatny dla UNRC. Ten Kieran ma jakichś krewnych, czyż nie?

Hausman potwierdził.

– Tak, owdowiała matka i siostra. Jego ojciec nie żyje już od dawna. Nie ma żony ani dzieci.

Garces wyjaśnił.

– Jeśli powiemy im, że nie żyje, został zamrożony w kosmosie, a potem będzie pogrzebany, to z tą sprawą koniec. Czy ci ludzie nie poczują się dużo lepiej, jeśli powiemy im, że on *wygląda* jak martwy, ale może zostać przywrócony do życia, przez technikę ożywiania, która zostanie udoskonalona w przyszłości?

– Przypuszczam, że faktycznie poczują się dużo lepiej, przy takim postawieniu sprawy – ustąpił Hausman. – Ale nie rozumiem…

Garces wzruszył ramionami.

– To proste. Wiesz przecież, że tak naprawdę to w kosmosie stawiamy dopiero pierwsze kroki. W miarę jak będziemy posuwać się dalej, UNCR będzie tracić wielu ludzi od urazów próżniowych, tak jak Kierana. Wraz z wydłużaniem się listy ofiar, tak jak to zwykle bywa, będzie rosło wycie pismaków. Ale jeżeli będziemy mogli powiedzieć, że oni wszyscy są jedynie zamrożeni, do czasu aż zostanie opracowana odpowiednia technika rewitalizacji, wszyscy będą czuli się dużo lepiej.

– Wydaje mi się, że public relations, są ważną sprawą… – zaczął mówić Hausman, a Garces szybko skinął potwierdzająco głową.

– Bo są. Zastanówcie się nad tym, jak rozegrać tę sprawę, kiedy będziecie naradzać się z Melonim. Upewnij się, że dostanie się ona do wszystkich ważniejszych sieci video. Chcę aby wszyscy mogli to zobaczyć.

Później, w towarzystwie wielu kamer i milionów widzów, ciało Kierana ubrane w skafander ciśnieniowy, uroczyście przesunięte zostało na wybraną pozycję, na której miało orbitować wokół Księżyca. Starannie unikano wszelkich analogii do pogrzebu. Człowiek po urazie próżniowym — nikt w ogóle nie określał go jako „martwego” — miał pozostać na tej orbicie, dopóki nie zostanie udoskonalony proces rewitalizacji.

„Czyli na zawsze”, pomyślał Hausman, z kwaśną miną obserwując całą operację. „Może Garces ma i rację. Jednak w miarę upływu czasu, będą tutaj mieli prawdziwe cmentarzysko.”

I w miarę jak czas upływał, rzeczywiście mieli.

2

W swoich snach, słyszał jakiś głos, który szeptał do niego kojąco.

Nie wiedział, co prawda, co chciał mu powiedzieć, poza tym, że było to coś ważnego. Ledwie uświadamiał sobie jego pojawienie, oraz to ile razy go słyszał. Był tylko cichy szept, a coś w nim, w środku, zdawało się go słyszeć i rozumieć. Potem szept zacierał się i zanikał, i znów nie było niczego poza snem.

Ale czy to w ogóle były sny? Nic w nich nie miało formy, ani treści. Przepływały przez niego światło, ciemność, dźwięk, ból, nie-ból. Przepływały… przez kogo? Kim był? Nie wiedział nawet tego. Nic go to zresztą nie obchodziło.

Ale w końcu zaczęło obchodzić, pytanie to zaczęło go dręczyć, niejasno i mgliście. Powinien przynajmniej spróbować sobie przypomnieć. Istniało przecież jeszcze coś poza snami i szepczącym głosem. Istniało… ale co? Gdyby tylko miał choć jedną realną rzecz, której mógłby się uchwycić, oprzeć na niej swoje stopy, i zacząć wspinać się z powrotem… Choćby jedną rzecz, taką jak swoje nazwisko.

Nie miał żadnego nazwiska. Był nikim. Zaśnij i zapomnij o tym. Zaśnij… i śnij… i słuchaj…

– Kieran.

Słowo to przeszyło jego mózg, jak druzgocące wyładowanie pioruna. Nie wiedział czym ono było, ani co ono znaczyło, ale stwierdził, że jego mózg je wykrzykuje, aż odbija się echem w jego umyśle.

– Kieran!

To już nie tylko jego mózg, ale również jego głos wydyszał je szorstko i chrapliwie. Wypychając to słowo ze swoich trzewi jego płuca wydawały się wręcz płonąć.

Cały się trząsł. Nagle miał ciało, które mogło się trząść, które mogło czuć ból, które czuło ból właśnie teraz. Próbował się poruszyć, aby przerwać ten koszmar, aby znowu wrócić pod mglistą zasłonę snów i uspokajającego szeptu.

Poruszył się. Jego kończyny ciężko zamłóciły w powietrzu. Klatka piersiowa podniosła się i opadła, łaknąc powietrza. Otworzył oczy.

Leżał na wąskiej koi, w bardzo małym metalowym pokoiku.

Powoli rozejrzał się dookoła. Nie znał tego miejsca. Błyszczący biały metal ścian i sufitu wyglądały dla niego zupełnie obco. Podobnie kompletnie nową rzeczą była nieznaczna, stała i dźwięcząca wibracja.

Z pewnością nie znajdował się we Wheel Five. Znał tam każde pomieszczenie, i żadne z nich nie wyglądało tak jak to. Brakowało też stałego cichego dźwięku pomp wentylacyjnych. Gdzie więc…

– Jesteś na statku, Kieran. Na statku międzygwiezdnym.

****

Usłyszał to gdzieś w głębi umysłu. Oczywiście potraktował to jako rzecz śmieszną, wybryk wyobraźni. Coś takiego jak statek międzygwiezdny przecież w ogóle nie istniało.

– Wszystko z tobą jest już w porządku. Jesteś na statku międzygwiezdnym i wszystko jest już z tobą w porządku.

Do głębin jego umysłu napłynęło empatyczne zapewnienie, które go uspokoiło. Nie czuł się co prawda zbyt dobrze, wręcz przeciwnie czuł się zamroczony i obolały, ale zamartwianie się swoim stanem nic by mu nie dało, zwłaszcza że z całą pewnością wiedział, że wszystko jest z nim w porządku…

Do diabła, wszystko jest z nim w porządku! Był gdzieś, w jakimś nieznanym miejscu, w jakimś dziwnym miejscu, czuł się na wpół chory, i w ogóle zupełnie nic nie było z nim w porządku. Zamiast leżeć tutaj na plecach, słuchając uspokajających kłamstw swojej imaginacji, powinien zebrać się, wstać i zobaczyć co się dzieje, co się z nim stało.

Nagle zaczęło mu się przejaśniać w głowie. Co się stało? Coś, uderzenie, straszliwe zimno…

Kieranem zaczęły wstrząsać drgawki. Znajdował się w Sekcji T2, szedł w kierunku śluzy powietrznej, i nagle podłoga uciekła mu spod nóg, a wokół niego Wheel Five zdawała się rozpadać w kawałki. Zimno, ból…

– Jesteś na statku międzygwiezdnym. Wszystko jest z tobą w porządku.

Na miłość Boską, dlaczego umysł mówił mu takie rzeczy, rzeczy w które w dodatku wierzył? Przecież, gdyby nie uwierzył w nie, to musiałby wpaść w panikę, nie wiedząc gdzie jest, nie wiedząc jak się tutaj znalazł. W jego umyśle pojawiały się co prawda pewne oznaki paniki, ale potrafił stworzyć dla niej barierę, barierę z uspokajających zapewnień, o których jednak nie wiedział skąd się wzięły.

Spróbował podnieść się i usiąść. Nie udało mu się, był na to zbyt słaby. Leżał, z trudem oddychając. Podświadomie czuł, że ze strachu już dawno powinien wpaść w histerię, ale jakoś udawało mu się ją opanować, to ta bariera w jego umyśle pozwalała temu zapobiec.

Już miał zacząć krzyczeć, kiedy drzwi w bocznej ścianie małego pokoju rozsunęły się na boki, i do środka wszedł jakiś człowiek.

Stanął nad nim i na niego spojrzał. Był młody, miał jasne włosy w kolorze piasku, silną, krępą figurę, i płaską twarz, o twardych rysach. Jego niebieskie oczy spoglądały uważnie. Kieranowi wydawało się, że sprawia wrażenie zwiniętej sprężyny, gotowej do akcji. Mężczyzna przyjrzał się Kieranowi i powiedział.

– Jak się pan czuje, Kieran?

Kieran spojrzał w górę na niego. Zapytał:

– Czy jestem na statku międzygwiezdnym?

– Tak.

– Ale przecież statki międzygwiezdne nie istnieją.

– Istnieją. Jest pan na jednym z nich.

Człowiek o piaskowych włosach dodał.

– Nazywam się Vaillant.

– *To co powiedział jest prawdą* – zaszeptało coś w umyśle Kierana.

– Gdzie… jak… – zaczął Kieran.

Vaillant przerwał jego próbę wyjąkania pytania.

– Co do tego gdzie, to jesteśmy całkiem niezły kawałek drogi od Ziemi, w tym momencie kierując się, generalnie w stronę Altaira. Co do tego jak… – Przerwał bacznie spoglądając w dół na Kierana. – Nie wie pan jak?

– Oczywiście, że wiem. Zostałem zamrożony, a teraz mnie obudzono, ale minęło wiele czasu…

Na twarzy przyglądającego mu się badawczo Vaillanta, pojawił się wyraz ulgi.

– Teraz już pan wie, nieprawdaż? Przez chwilę obawiałem się, że coś nie zadziałało.

Usiadł na samym brzegu koi.

– Jak długo? – zapytał Kieran.

Vaillant odpowiedział z taką obojętnością, jak gdyby było to najzwyczajniejsze pytanie w świecie.

– Nieco ponad sto lat.

****

To wspaniałe, pomyślał Kieran. W jaki sposób mógł przyjąć takie stwierdzenie bez najmniejszego śladu ekscytacji. To było niemal tak, jakby przez cały czas o tym wiedział.

– Jak… – zaczął, ale coś im przerwało.

W kieszeni koszuli Vaillanta coś cienko zabuczało. Wyciągnął cienki metalowy dysk o średnicy trzech cali, i ostro do niego powiedział.

– Tak?

Z dysku zaskrzeczał cichy głos. Kieran był za daleko, aby mógł zrozumieć, co mówi, ale wyczuł obecną w nim nutę podenerwowania, niemal paniki.

Płaska twarz Vaillanta nieco się zmieniła, stwardniała. Powiedział:

– Oczekiwałem tego. Zaraz tam będę. Wiesz przecież co robić.

Zrobił cos z trzymanym w ręku dyskiem, i ponownie do niego powiedział:

– Paula, przyjdź tutaj.

Wstał. Kieran spoglądał na niego w górę, czując się oszołomiony i ogłupiały.

– Chciałbym dowiedzieć się paru rzeczy.

– Później – powiedział Vaillant. – Mamy kłopoty. Proszę położyć się i zostać tu gdzie pan jest.

Wyszedł szybko z pokoju. Kieran spoglądał za nim, zastanawiając się. Kłopoty… kłopoty na statku międzygwiezdnym? I minęło już sto lat…

Nagle poczuł przypływ emocji, który wstrząsnął jego nerwami i zacisnął wnętrzności w supeł. To wszystko dopiero teraz zaczynało docierać do jego umysłu. Usiadł na koi, zsunął z niej nogi i spróbował wstać. Nie dał rady, był za słaby. Wszystko co mógł zrobić, to siedzieć tam, drżąc.

Jego umysł nie był w stanie zaakceptować tego wszystkiego. Wydawało się przecież, że minęło dopiero kilka minut, od chwili kiedy szedł korytarzem w Wheel Five. W związku z tym wydawało się niemożliwe, aby Wheel Five przestało istnieć, że Ziemia, ludzie, czasy które znał, ciągle muszą gdzieś tam być. Może to był jakiś żart, albo swoisty rodzaj eksperymentu psychologicznego. Tak, to było to… chłopaki od medycyny kosmicznej zawsze na wyjście robili eksperymenty, aby sprawdzić jak człowiek dał sobie radę z nienormalnymi warunkami w jakich musiał żyć i pracować. To musi być jeden z nich…

Do pokoju weszła kobieta. Była ciemnoskóra, mogła mieć może ze trzydzieści lat, ubrana była w białą koszulę i luźne spodnie. Mógłby o niej nawet powiedzieć, że jest ładna, gdyby nie wyglądała na tak zmęczoną i poirytowaną.

Podeszła do łóżka, spojrzała na niego i powiedziała:

– Proszę jeszcze nie próbować wstawać. Wkrótce poczuje się pan dużo lepiej.

Jej głos brzmiał nieco ochryple. Był Kieranowi doskonale znany, a przecież nigdy wcześniej nie widział jej na oczy. Wtedy nagle spłynęło na niego olśnienie.

– To pani była tym głosem, który do mnie mówił? – powiedział, patrząc na nią w górę. – To znaczy, w moich snach.

Kiwnęła głową.

– Nazywam się Paula Ray, i jestem psychologiem. Musiał pan zostać przygotowany psychologicznie do swojego przebudzenia.

– Przygotowany?

Kobieta cierpliwie wyjaśniła:

– Technika hipnopedyczna. Wprowadzenie do podświadomości śpiącego pacjenta, podstawowych informacji i faktów. Gdyby został pan przebudzony bez przygotowania, przeżyty szok mógłby okazać się zbyt silny. Wykazały to już pierwsze próby rewitalizacji ludzi którzy doznali urazów próżniowych, jakieś czterdzieści, czy pięćdziesiąt lat temu.

****

Uspokajające przekonanie, że wszystko to było jedynie pozoracją, jakąś formą eksperymentu, zaczęło z wolna ulatywać z umysłu Kierana. Jednak jeśli to była prawda…

W końcu z trudnością udało mu się wykrztusić:

– Powiedziała pani, że proces rewitalizacji ludzi zamrożonych w próżni kosmicznej, został udoskonalony już przed wielu laty?

– Tak.

– Dlaczego więc ożywiono mnie dopiero po kolejnych czterdziestu czy też pięćdziesięciu latach?

Kobieta westchnęła ciężko.

– Źle mnie pan zrozumiał. W tym okresie opracowany został sam proces rewitalizacji. Mógł być jednak stosowany wyłącznie bezpośrednio po rozbiciu lub katastrofie statku. Mężczyźni i kobiety znajdujący się na starych cmentarzyskach kosmicznych nie byli ożywiani.

– Dlaczego nie? – ostrożnie zapytał.

– Niezadowalające efekty – odparła. – Nie byli w stanie przystosować się psychologicznie do zmienionych warunków. Zazwyczaj stawali się osobowościami skrajnie niezrównoważonymi. W wyniku przeprowadzonych prób, miało miejsce kilka samobójstw i cala seria przypadków ekstremalnie silnej schizofrenii. Zdecydowano więc, że rewitalizacja starszych przypadków urazów próżniowych nie przynosi niczego dobrego.

– Ale pani obudziła mnie z powrotem?

– Tak.

– Dlaczego?

– Były po temu poważne powody. – Wyraźnie próbowała uniknąć odpowiedzi na to pytanie. Szybko przeszła więc do kolejnych kwestii. – Gdyby nie został pan odpowiednio przygotowany, szok po przebudzeniu, mógłby mieć skrajnie destrukcyjny charakter. A więc, w czasie kiedy przebywał pan pod wpływem środków uspokajających, zastosowałam na panu terapię hipnopedyczną. Pański nieświadomy umysł zapoznał się z najważniejszymi faktami, oraz ogólną sytuacją, zanim jeszcze się pan obudził, co pozwoliło złagodzić szok.

Kieran wyobraził sobie siebie zamarzniętego i martwego, spoczywającego na położonym w przestrzeni kosmicznej cmentarzysku, wśród setek ciał dryfujących po orbicie, przez całe lata krążących z wolna wokół siebie w makabrycznym tańcu… Wstrząsnął nim głęboki dreszcz.

– Ponieważ wszystkie ofiary urazów próżniowych znajdowały się w skafandrach kosmicznych, tak więc dehydracja nie była jakimś poważnym problemem – mówiła ciągle Paula. – Ale mimo wszystko to bardzo delikatny proces…

Popatrzył na nią i szorstko przerwał:

– Jakie powody? – A kiedy spojrzała na niego pustym wzrokiem, dodał jeszcze. – Powiedziała pani, że były poważne powody, dla których wybrała mnie pani do ożywienia. Jakie to były powody?

Na jej twarzy pojawiło się napięcie i czujność.

– Zgodnie z oznaczoną datą, był pan najstarszą ofiarą. To był jeden z decydujących czynników…

– Niech pani posłucha – powiedział Kieran. – Nie jestem dzieckiem, ani jakimś dzikusem. Może pani darować sobie swój protekcjonalny profesjonalny żargon i odpowiedzieć na moje pytanie.

Jej głos stał się zbolały i zaczął się załamywać.

– To dla pana zupełnie nowe środowisko. Gdybym panu powiedziała, nie zrozumiałby pan tego.

– Proszę spróbować.

– W porządku – w końcu skapitulowała. – Potrzebujemy pana jako symbolu, w politycznej walce jaką toczymy przeciw Sakae.

– Sakae?

– Mówiłam panu, że nie jest pan jeszcze w stanie tego zrozumieć – odpowiedziała niecierpliwie, odwracając się od niego. – Nie może pan oczekiwać, żeby w ciągu pięciu minut, udało mi się wypełnić pana luki w wiedzy o całym świecie, który przecież jest dla pana czymś nowym.

Ruszyła w stronę drzwi.

– O, nie! – powiedział Kieran. – Nie może pani teraz tak po prostu sobie pójść.

Zsunął się z koi. Cały drżał i czuł się słaby, ale oburzenie pobudziło do działania jego zwiotczałe mięśnie. Zrobił krok w jej kierunku.

Nagle przygasły światła i zewsząd dobiegł potężny ryk, przerażający dźwięk o brutalnej mocy. W otaczającej go wokół metalowej puszce, Kieran wyczuł słabe drżenie, które gwałtownie przeszło w tak głęboką i silną wibrację, że kompletnie został nią oszołomiony, i musiał się chwycić stelażu koi, aby uchronić się przed upadkiem.

Na twarzy kobiety błysnął alarm. W chwilę później, z ukrytego w ścianie głośnika, ostro krzyknął męski głos:

– Dogonili nas… Przygotować się na ekstremalnie nasilenie manewrów uchyleniowych.

– Proszę wracać do koi – powiedziała Kieranowi kobieta.

– Co się stało?

– Wcale niewykluczone – odparła z nutką złośliwości w głosie, – że za chwilę może pan umrzeć po raz drugi.

3

Światła ściemniały jeszcze bardziej i zapanował półmrok, a głębokie tony wibracji wyraźnie się nasiliły. Kieran złapał kobietę za ramię.

– Co się dzieje?

– Do diabła, proszę mnie puścić! – zawołała.

Podniesiony głos był tak typową cechą ludzkiego gniewu, że Kieran, po raz pierwszy, niemal ją polubił. Nadal jednak ściskał kurczowo jej rękę, chociaż zdawał sobie sprawę, że przy jego obecnej słabości, nie będzie w stanie długo jej utrzymać.

– Mam prawo do tego, by wiedzieć – powiedział.

– W porządku, być może faktycznie pan ma – powiedziała Paula. – My… nasz grupa… działamy przeciw rządowi. Przylatując na Ziemię i przywracając pana do życia, złamaliśmy prawo. A teraz władze próbują nas schwytać.

– Inny statek? Czy będziecie walczyć?

– Walczyć? – gapiła się na niego, a na jej twarzy pojawił się wstrząs i cień odrazy. – Ależ oczywiście, pan pochodzi z dawnych czasów, kiedy prowadzono jeszcze wojny, więc mógł pan sobie coś takiego pomyśleć…

Kieran odniósł wrażenie, że po tym co powiedział, uczucia widoczne w spojrzeniu jakim go obdarzyła, odpowiadałyby mniej więcej jego uczuciom, jakie on odnosiłby patrząc na, w gruncie rzeczy przyzwoitego i wartościowego dzikusa, który miał tego pecha, że jest kanibalem.

– Zawsze mi się wydawało, że przywrócenie pana z powrotem do życia, może być pomyłką – powiedziała, z ostrą nutą w głosie. – Teraz proszę mnie puścić.

Wyrwała mu się i zanim zdołał ją zatrzymać, podeszła do drzwi i je rozsunęła. Zebrał się na tyle szybko, aby się za nią pochylić i wsadzić rękę między skrzydła drzwi, zanim zdążyła je zasunąć.

– Och, dobrze więc, skoro się pan upiera, nie mam zamiaru się panem przejmować – powiedziała szybko, odwróciła się i pośpiesznie odeszła.

Kieran chciał za nią pójść, ale uginały się pod nim kolana. Oparł się o jedno ze skrzydeł drzwi. Ogarnął go gniew, i tylko energia jaką mu dawał, uchroniła go przed upadkiem. Nie mogę zemdleć, powiedział sobie. Nie był dzieckiem, i nie mógł pozwolić, żeby go tak traktowano…

Wystawił głowę przez drzwi. Na zewnątrz pokoju widać było długi i bardzo wąski korytarz, z gładkiego metalu, wzdłuż którego zauważył kilka zamkniętych drzwi. Jedne z drzwi, daleko w głębi korytarza, w pobliżu jego końca, właśnie w tej chwili się zasuwały.

****

Ruszył wzdłuż korytarza przytrzymując się ręką, gładkiej metalowej ściany. Kiedy zrobił kilka kroków, gniew popychający go do działania, zaczął z wolna ulatywać. Nagle przytłaczający i niewiarygodny fakt tego, że znajdował się tutaj, w tym miejscu, w tym czasie, na tym statku, zwalił się na niego jak lawina, przed którą nie mogło go już dłużej chronić żadne hipnopedyczne uwarunkowanie wstępne.

Dotykam statku międzygwiezdnego, jestem na statku międzygwiezdnym. Ja, Reed Kieran z Midland Springs w Ohio. Przecież powinienem być tam, prowadząc swoje wykłady, wchodząc do sklepu Harnetta, żeby po drodze do domu kupić coś lekkiego do picia, ale jestem tutaj, na statku umykającym między gwiazdami…

Cały świat wirował mu w głowie, obawiał się, że znowu umiera. Znalazł się w końcu przy drzwiach, otworzył je i raczej wpadł niż wszedł do środka. Usłyszał czyjś zaskoczony głos.

Ten pokój był nieco większy. Na środku stał stół, z przezroczystym blatem, na którym widać było oszałamiającą masę szybko migających jasno podświetlonych symboli, które bez przerwy się zmieniały. Jedną ze ścian pomieszczenia stanowił wielki ekran. Był jednak zupełnie pusty, czysta, ciemna powierzchnia.

Dookoła stołu siedzieli Vaillant, Paula Ray i jakiś wysoki żylasty człowiek w średnim wieku. Wszyscy spoglądali na niego, z zaskoczeniem.

Na twarzy Vaillanta pojawił się błysk irytacji.

– Paula, miałaś zamknąć go w jego kabinie!

– Nie myślałam, że będzie miał tyle siły, żeby pójść za mną – odparła.

– I nie mam – powiedział Kieran i poleciał na dół.

Wysoki człowiek, w średnim wieku, podbiegł i złapał go zanim uderzył w podłogę, a potem posadził na krześle.

Usłyszał, dobiegający jakby z dużej odległości głos Vaillanta, mówiącego z irytacją:

– Niech Paula się nim zajmie, Webber. Lepiej spójrz na to… zaraz będziemy przechodzili przez kolejną szczelinę…

W ciągu następnych paru minut, w głowie Kierana wszystko się bezładnie kotłowało. Przez cały ten czas kobieta coś do niego mówiła. Powiedziała mu chyba, że jest dobrze przygotowany do szoku po powrocie do życia, zarówno pod względem fizycznym jak i psychicznym, a więc wszystko z nim będzie w porządku, musi tylko podchodzić do tego trochę wolniej.

Słyszał jej głos, ale nie poświęcał specjalnej uwagi jej słowom. Siedział na krześle i z uporem obserwował obu mężczyzn, którzy pochylali się nad stołem i nad przepływającym po nim strumieniem świecących symboli. W miarę upływu czasu, Vaillant wydawał się być coraz bardziej i bardziej spięty, i o ile wcześniej sprawiał wrażenie ściśniętej sprężyny, to teraz sprężyna zdawała się już zbliżać do punktu pęknięcia. Webber, wysoki, żylasty mężczyzna, również obserwował czujnym wzrokiem przelatujące symbole, zachowując jednak kamienny wyraz twarzy.

– Wejdźmy tutaj – wymruczał pod nosem, a potem zarówno on jak i Vaillant wpatrzyli się w wiszący na ścianie czarny ekran.

Kieran przyglądał się razem z nimi. Nie było na nim niczego. Nagle jednak, w jednej chwili, z ekranu znikła ciemność, i pojawiła się na nim wspaniała panorama kosmosu, jakiej Kieran nigdy w życiu jeszcze nie widział.

****

Na całym ekranie gwiazdy świeciły potężnym płomieniem, tworząc splecione warkocze, łańcuchy i jarzące się skupiska. Pod tym względem nie różniły się może niczym specjalnym od tego jak wyglądały z Wheel Five. Różnica polegała na tym, ze rozgwieżdżony firmament był częściowo zamazany przez olbrzymie porozszczepiane kłęby czerni, hebanowych chmur rozciągających się niemal w nieskończoność. Kieran widział kiedyś zdjęcia astronomiczne podobnych obiektów, i wiedział czym była ta czerń.

Pył. Pył tak drobny, że procentowa zawartość jego cząstek w jednostce objętości, na Ziemi traktowana byłaby jako próżnia. Tutaj jednak, w kosmosie, rozciągał się na całe parseki, tworząc dla światła nieprzenikalną barierę. Pomiędzy tytanicznymi ścianami czerni, znajdowała się wąska szczelina, i w tę szczelinę właśnie wpadał — a dokładnie mówiąc wpadał statek w którym się znajdował.

****

Nagle ekran ponownie zrobił się czarny. Kieran nadal jednak siedział i wpatrywał się w niego. Ten niewiarygodny, chociaż przelotny widok, w końcu wbił w jego umysł przeświadczenie o kompletnej realności tego wszystkiego co go tutaj spotkało. Oni wszyscy, obecni na tym statku, musieli być daleko od Ziemi — bardzo daleko, wewnątrz jednego z obłoków pyłowych, w którym starali się zgubić podążający za nimi pościg. To musiało być rzeczywiste.

– … kiedy przechodziliśmy z pewnością złapali na nas kolejny namiar – mówił Vaillant gorzkim głosem. – Otoczą nas dookoła swoją siecią… jej wzorzec ukształtuje się teraz, a my nie damy rady się przez nią prześlizgnąć.

– Nie damy rady – powiedział Webber. – Statek nie może uciec. Ale szperaczowi, przy odrobinie szczęścia może się udać.

Obaj patrzyli na Kierana.

– On jest kimś ważnym – kontynuował Webber. – Jeśli kilkorgu z nas udałoby się z nim przedostać…

– Nie – powiedziała Paula. – Nie dalibyśmy rady. Kiedy tylko złapią statek i stwierdzą, że nie ma na nim szperacza, zaraz za nim ruszą.

– Nie na Sako – nie zgodził się Webber. – Nigdy nie pomyślą, że moglibyśmy zabrać go na Sako.

– Czy mógłbym wtrącić słówko? – wycedził między zębami Kieran.

– O czym? – zapytał Vaillant.

– A o tym. Do diabła z wami wszystkimi. Nigdzie nie mam zamiaru lecieć ani z wami, ani dla was.

****

Mówiąc to, poczuł niesamowitą satysfakcję. Miał już dość siedzenia tutaj jak jakiś cymbał, podczas gdy oni ustalali co się z nim stanie. Ich reakcja na jego słowa była jednak zupełnie inna niż oczekiwał. Dwaj mężczyźni po prostu zaczęli przyglądać się mu z zamyśleniem. Kobieta natomiast ciężko westchnęła.

– Widzicie? Nie było czasu, żeby mu to wszystko wyjaśnić. Dla niego naturalną reakcją w takim przypadku jest wrogość.

– Wyrzuć go stąd, i gdzieś zabierz – powiedział Webber.

– Nie – ostro sprzeciwiła się Paula. – Jeśli teraz sobie stąd pójdzie, to nie będzie już tu chciał wrócić. A ja nie mam zamiaru za to odpowiadać.

– A tymczasem – powiedział Vaillant niemal tnąc słowami, – wzorzec cały czas się kształtuje. Czy masz może jakieś sugestie, Paula?

Skinęła głową.

– To.

Nagle nacisnęła coś pod nosem Kierana, jakąś małą rzecz, którą wyciągnęła z kieszeni tak, że nawet tego nie zauważył, zajęty swoim gniewem i zaabsorbowany przyglądaniem się obu mężczyznom. Poczuł jakiś słodki, orzeźwiający zapach i natychmiast odepchnął jej rękę od siebie.

– O nie, nie będziesz dawać mi już kolejnych narkotyków… – Potem przerwał, ponieważ nagle wszystko to wydało się mu jakimś czarnym humorem. – Banda kretyńskich nieudaczników – powiedział i roześmiał się ponuro. – To jakaś ironia losu, o jakiej nigdy mi się nawet nie śniło. Że człowiek mógłby sobie zasnąć, obudzić się na statku międzygwiezdnym, a potem stwierdzić, że statek ten obsadzony jest przez jakichś nieudolnych fajtłapów.

– Euforia – powiedziała Paula do dwóch mężczyzn.

– A przy tym – kwaśno powiedział Webber, – w tym co o nas powiedział, może coś być.

Vaillant odwrócił się w jego stronę, i powiedział z wściekłością:

– Jeżeli tak ci się wydaje… – Potem jednak opanował się i dodał z naciskiem. – Nic nam nie przyjdzie z kłótni. Jesteśmy w pułapce, ale ciągle jeszcze może nam się udać, jeśli dostarczymy tego człowieka na Sako. Webber, ty i Paula zabierzcie go do szperacza.

Kieran szybko zerwał się na nogi.

– Świetnie – powiedział wesołym tonem. – Lećmy tym szperaczem, cokolwiek by to było. Jestem już śmiertelnie znudzony tymi waszymi statkami międzygwiezdnymi.

Czuł się świetnie, naprawdę wspaniale. Był jakby po jednym czy dwu głębszych, nie na tyle pijany aby mogło to zatrzymać jego procesy myślowe, ale wystarczająco by dało mu to obojętność, w rodzaju „a do diabła z tym wszystkim”, na wszystko co się później stanie. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że to tylko spray, który zaserwowała mu Paula, ale ciągle pozwalało to poczuć się lepiej jego ciału, usunąć skutki wstrząsu i zmartwienia, oraz spowodowało, że cała sytuacja nagle wydała mu się raczej zabawna.

– Lećmy w tym szperaczu na to Sako – powiedział. – Mimo wszystko wygrałem przecież drugie życie, równie dobrze mogę więc obejrzeć całe show. Jestem pewien, że Sako, gdziekolwiek by to nie było, jest tak samo pełne ludzkiego szaleństwa, jak była Ziemia.

– On ciągle jest w euforii – znowu powiedziała Paula, ale po wyrazie twarzy widać było, że jest dotknięta.

– Spośród tych wszystkich ludzi na cmentarzysku kosmicznym, musieliśmy właśnie wybrać kogoś, kto myśli tak jak on – powiedział Vaillant, z powstrzymywanym gniewem.

– To ty wmówiłeś sobie, ze najstarszy będzie najlepszy – zauważył Webber. – Sako go zmieni.

Kieran ruszył korytarzem z Webberem i Paulą, śmiejąc się po drodze. Sprowadzili go z powrotem z nicości, bez jego zgody, naruszając prywatność śmierci, albo prawie śmierci, a teraz coś co właśnie powiedział, gorzko ich do niego rozczarowało.

– Idziemy dalej – radośnie powiedział do pozostałej dwójki. – Nie zostawajmy w tyle. Dalej na pokład szperacza, i dziewczyna jest moja!

– Och, na miłość Boską, zamknij się w końcu! – powiedział Webber.

4

To zakrawało wręcz na kpinę. Lecieć wśród gwiazd z najpotężniejszym kacem w życiu, ale Kieran takiego właśnie miał. Bolała go głowa i czuł mdłości, a w ustach pojawił się nieprzyjemny, metaliczny posmak. Jego poprzednie ożywienie i wesołość, ustąpiły miejsca ponurej depresji. Rozglądał się dokoła z kwaśną miną.

Siedział uwięziony w niewielkiej metalowej klatce kabiny, w której jedynie z trudem mógłby prosto stanąć. Paula Ray, siedząca w fotelu zaledwie o kilka stóp od niego, właśnie spała, opuściwszy głowę na piersi. Webber siedział z przodu, w czymś w rodzaju fotela pilota, mając przed sobą cały szereg wypełnionych wskaźnikami pulpitów sterowniczych. Jednak nawet nie dotykał urządzeń sterujących. Wyglądało, że równie dobrze mógłby również pójść sobie spać.

I to już było wszystko — mała metalowa kabina, puste metalowe ściany, cisza. Przypuszczalnie lecieli między gwiazdami z niewiarygodną szybkością, ale nie było absolutnie niczego, na czym mogliby to zobaczyć. Nie było żadnych ekranów, podobnych do tego jaki widział na statku, na których można obserwować panoramę położonych dookoła gwiazd i ciemnych obłoków, przekazywaną przez wspaniałe urządzenia skanujące.

– W szperaczu – poinformował go Webber, – po prostu nie ma miejsca na skomplikowaną aparaturę, niezbędną dla tego typu skanerów. Oglądanie jest luksusem, o którym w szperaczu możesz zapomnieć. Popatrzymy sobie, kiedy dolecimy na Sako.

A po chwili dodał:

– Jeśli w ogóle dolecimy na Sako.

Kieran wtedy tylko się roześmiał i niemal natychmiast zasnął. Kiedy obudził się, cała euforia już go opuściła, i pozostał mu po niej jedynie obecny kac.

– Przynajmniej – powiedział sobie w myśli, – naprawdę nie mogę sobie wyrzucać, że to moja wina. To ten przeklęty spray…

Rzucił śpiącej w fotelu kobiecie urażone spojrzenie. Potem wyciągnął rękę, i szorstko potrząsnął ją za ramię.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, najpierw sennie, a potem z rosnącym oburzeniem.

– Jakim prawem mnie obudziłeś! – powiedziała.

Potem jednak, zanim Kieran zdążył się odciąć, nagle zdała się zrozumieć monumentalną ironię tego, co właśnie powiedziała, i wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Przepraszam – powiedziała. – No dalej, teraz powiedz to ty. Jakim prawem ja obudziłam *ciebie*.

– Może więc wróćmy do tej sprawy – po chwili powiedział Kieran. – Dlaczego to zrobiłaś?

Paula popatrzyła na niego żałosnym wzrokiem.

– Najbardziej teraz by mi się przydała dziesięciotomowa historia ostatniego stulecia, i dostatecznie dużo czasu, abyś mógł ją przeczytać. Ale ponieważ nie mamy ani jednego ani drugiego… – Przerwała, a potem po chwili zapytała. – Pochodzisz z 1981, nieprawdaż? To, i twoje nazwisko, było na znaczniku twojego skafandra kosmicznego.

– Zgadza się.

– A więc. W 1981 roku spodziewano się, że ludzkość powinna w końcu polecieć do gwiazd, czy tak?

Kieran potwierdził.

– Jak tylko uda się wynaleźć jakiś sensowny napęd międzygwiezdny. Nawet w tamtych czasach prowadzono już eksperymenty z kilkoma typami silników.

– Jeden z nich, oparty na regule Flournoya, w końcu doprowadzony został do stanu praktycznej używalności – powiedziała. Zmarszczyła brwi. – Próbuję dać ci jedynie skrótowy zarys i nie będę wchodziła w szczegóły.

– Po prostu powiedz mi, dlaczego mnie obudziłaś.

– Właśnie *próbuję* ci to powiedzieć. – Potem słodko zapytała: – Czy zawsze byłeś taki upierdliwy, czy to efekt procesu przywrócenia cię do życia?

Kieran wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No dobra. Wal dalej.

****

– Sprawy potoczyły się nawet szybciej, niż przewidywano to w 1981 roku – powiedziała. – Opracowany został napęd. Do najbliżej położonych gwiazd wyruszyły statki kosmiczne. Znalazły planety nadające się do zamieszkania. Dla mieszkańców przeludnionej Ziemi, stworzono kolejne kolonie. Na kilku planetach znaleziono tubylcze rasy ludzkie, wszystkie znajdujące się na raczej niskim poziomie rozwoju technicznego, tak więc przekazano im naszą wiedzę.

– Od początku zapanowała determinacja, by zebrać to wszystko w jeden wspólny organizm. Zgodnie z zasadą, że brak oddzielnych grup narodowych, skutkuje brakiem powodów do wojen. Rada zarządzająca, umieszczona została na Altairze Dwa. Swoją reprezentację znalazły w niej wszystkie zamieszkałe światy. Obecnie jest ich dwadzieścia dziewięć. Oczekuje się, że wszystko będzie działać w podobny sposób, kiedy reprezentowanych tam będzie dwieście dziewięćdziesiąt światów, czy też dwadzieścia dziewięć tysięcy — dowolna liczba. Ale…

Kieran słuchał uważnie.

– Ale co? Co zakłóciło tę konkretną utopię?

– Sako.

– Ten świat, na który lecimy?

– Tak – powiedziała uspokajającym tonem. – Kiedy ludzie dotarli do tej planety, znaleźli na niej coś nowego. Mieszkały tam istoty inteligentne, ludzka rasa, na bardzo niskim poziomie rozwoju cywilizacyjnego.

– No więc, na czym polegał problem? Nie mogliście zacząć ich uczyć, tak jak wcześniej innych?

Pokręciła przecząco głową.

– To musiałoby zająć nieco więcej czasu. Ale nie na tym polegał prawdziwy problem. To chodziło… Widzisz na Sako, oprócz tych ludzi jest również inna rasa, i to całkiem cywilizowana. Sakae. Kłopot polega na tym, że Sakae nie są ludźmi.

Kieran wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc o co chodzi.

– I co z tego? Jeśli są inteligentni…

– Mówisz jak gdyby to było najprostsza rzecz w świecie – odparła błyskawicznie.

– A nie jest? Jeżeli ci twoi Sakae są inteligentni, a mieszkający na Sako ludzie nie są, to przecież Sakae maja prawo do tego świata, nieprawda?

Nic nie odpowiedziała, tylko rzuciła mu chłodne spojrzenie. Ponownie uderzyło go przeświadczenie, że zawiódł w jakiejś ważnej próbie. Później z przodu, nie odwracając się, dorzucił Webber:

– No i co teraz myślisz o wspaniałym pomyśle Vaillanta, Paula?

– Ciągle może jeszcze zadziałać – odparła, ale bez specjalnego przekonania w głosie.

– Jeżeli nie mielibyście nic przeciwko temu – powiedział Kieran, jadowitym głosem, – to ciągle się nie dowiedziałem, co te sprawy na Sako mają wspólnego z moim obudzeniem.

****

Na tym świecie Sakae rządzą ludźmi – odpowiedziała mu Paula. – Wśród nas są tacy, którzy uważają, że powinno być inaczej. W radzie, określani jesteśmy jako Partia Ludzkości, ponieważ uważamy, że ludzie nie powinni być rządzeni przez nieludzi.

Ponownie Kieran został zbity z podstawowej kwestii, tym razem poprzez określenie „nieludzie".

– Ci Sakae… jacy oni są?

– Nie są jakimiś potworami, jeżeli o to ci chodzi – powiedziała Paula. – Są dwunożni, raczej podobni do jaszczurek niż do ludzi, są również całkiem inteligentni i mają dobrze rozwinięty system prawny.

– Jeżeli jest tak jak mówisz, a w dodatku są bardziej inteligentni niż ludzie, to dlaczego nie mieliby rządzić swoim własnym światem? – dopytywał się Kieran.

Webber wydał z siebie szyderczy rechot. Nie odwracając się zapytał:

– Czy mam zmienić kurs i lecieć na Altaira?

– Nie! – zawołała. Błysnęła oczami w kierunku Kierana i niemal nie łapiąc oddechu wygłosiła tyradę: – Bardzo jesteś pewien swoich racji, mówiąc o rzeczach, o których dopiero co usłyszałeś, nieprawdaż?! Wiesz już co jest dobre i wiesz co jest złe, pomimo tego, że jesteś w tym czasie, w tym wszechświecie, dopiero od kilku godzin!

Kieran popatrzył na nią z uwagą. Pomyślał, że zaczyna już mgliście dostrzegać jak się mają rzeczy.

– Ty… wy wszyscy, którzy mnie nielegalnie obudziliście, należycie do Partii Ludzkości, czy tak? Zrobiliście to z jakichś powodów związanych z tymi sprawami?

– Tak – odparła niemal wyzywająco. – Potrzebujemy jakiegoś symbolu naszej walki politycznej. Pomyśleliśmy, że jeden z pionierów podróży w przestrzeni kosmicznej, z dawnych lat, jeden z tych ludzi, którzy rozpoczęli podbój gwiazd, mógłby zostać kimś takim. My…

Kieran przerwał jej.

– Wydaje mi się, że zrozumiałem. To naprawdę pomysłowe z waszej strony. Ściągacie z powrotem człowieka, uważanego za martwego, i pokazujecie go na zjeździe partyjnym. „Kosmiczny bohater z dawnych lat potępia nieludzi!" — to pewnie miało być coś w tym guście, nieprawda?

– Słuchaj… – zaczęła.

– Nie, to ty mnie posłuchaj, do jasnej cholery – powiedział. Był aż czerwony z wściekłości, jaka nim wstrząsała. – Bardzo miło mi oznajmić, że chyba nie mogliście znaleźć gorszego symbolu ode mnie. Nie mam ani odrobiny więcej szacunku dla idei uświęconej pochodzeniem wyższości jednego gatunku nad drugim, niż miałbym dla wyższości jednego rodzaju człowieka ponad innym!

Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Z rozgniewanej kobiety, nagle zmieniła się w profesjonalnego psychologa, chłodno analizującego obserwowane reakcje.

– Tak naprawdę, to twojego oburzenia nie powodują kwestie polityczne – stwierdziła. – Obudziłeś się w jakimś dziwnym świecie, a w dodatku obawiasz się skutków tych wszystkich przygotowań przed-obudzeniowych, jakim poddaliśmy twoją podświadomość. Boisz się, więc na obawę reagujesz gniewem.

Kieran przyjrzał się swoim uczuciom. Wzruszył ramionami.

– Być może to co powiedziałaś, to nawet i prawda. Nie zmienia to jednak tego co czuję. Nie mam zamiaru ruszyć nawet cholernym małym palcem, żeby wam pomóc.

Webber podniósł się ze swojego fotela, i zgarbiony ruszył na tył, w ich stronę. Popatrzył na Kierana, a potem na kobietę.

– Musimy natychmiast podjąć decyzję – powiedział. – Podchodzimy już na tyle blisko Sako, by wyjść z napędu. Czy będziemy tam lądować, czy nie?

– Tak – pewnym głosem powiedziała Paula. – Lądujemy.

Webber ponownie spojrzał w twarz Kieranowi.

– Ale jeśli jego poglądy są takie…

– Idź na przód i ląduj – twardo powiedziała.



5

W niczym nie przypominało to lądowania rakietą. Zaczęło się od operacji określanej jako „wychodzenie z napędu”. Paula przypięła Kierana pasem i powiedziała:

– Może wydawać ci się to nieprzyjemne, ale po prostu mocno się trzymaj i siedź. To nie potrwa długo.

Kieran siedział sztywno, groźnie patrząc, przygotowany na wszystko co najgorsze, i zdeterminowany aby niczego po sobie nie pokazać, niezależnie od tego jak się będzie czuł. Później Webber przełączył coś na pulpicie nawigacyjnym i… świat rozpadł się w kawałki. Żołądek Kierana poszedł w górę i stanął mu w gardle. Fiknął koziołka… w górę? W dół? Na bok? Nie miał pojęcia, ale w którąkolwiek stronę by to zrobił, nie wszystkie części jego ciała leciały z tą samą szybkością, a może nie wszystkie w tym samym kierunku? Tego również nie był w stanie stwierdzić, ale w każdym razie było to wyjątkowo ohydne uczucie. Już otworzył usta, żeby głośno zaprotestować, kiedy nagle z powrotem normalnie siedział w fotelu, w normalnej kabinie, wrzeszcząc ile miał siły w płucach.

Zamknął się w końcu.

Paula powiedziała:

– Mówiłam ci, że to może być nieprzyjemne.

– Tak, mówiłaś – odparł Kieran. Siedział, cały spocony. Ręce i stopy miał zupełnie lodowate.

Teraz po raz pierwszy, wyczuwał ruch. Szperacz wydawał się pędzić do przodu jak kometa, z olbrzymią szybkością. Kieran zdawał sobie sprawę, że to pewna ironia losu, ponieważ teraz zeszli do prędkości leżącej w normalnym zakresie, podczas gdy wcześniej poruszali się z prędkością całkowicie przekraczającą zdolności jego pojmowania. Mógł jednak pojąć tę. Mógł więc ją odczuwać. Szli jak pocisk z piekła rodem, gdzieś przed nimi znajdowała się planeta, a on był zamknięty jak szczur w klatce i ślepy. Wnętrzności skręcały mu się w bezsilnej panice, przerażone bliskością katastrofy. Niesamowicie chciało mu się ponownie zacząć wrzeszczeć, ale przecież obserwowała go Paula.

Po kilku chwilach dylemat wrzeszczeć czy nie, stał się kwestią akademicką. Na zewnątrz kadłuba rozległ się początkowo słaby piszczący gwizd, szybko narastający do natężenia, przy którym poza nim, nie było absolutnie niczego słychać. Weszli w atmosferę. I gdzieś, pod pozbawioną ekranów ścianą szperacza, zataczając się i podskakując, mknęła na ich spotkanie twarda jak skała powierzchnia planety…

****

Szperacz zwolnił. Wydawało się, że zawisł w bezruchu, słabo drżąc. Potem poleciał w dół. Sprawiał wrażenie windy w najwyższym budynku świata, jadącej z samej góry na sam dół, tylko że ta winda była bańką, podczas opadania rzucaną przez wiatr z boku na bok, no i nie było tego dołu.

Potem ponownie wisieli, lekko unosząc się na niewidocznym wietrze.

I znów na dół.

Znowu wisieli.

I na dół.

W końcu Paula niespodziewanie zawołała:

– Webber, Webber, on chyba umiera. – Zaczęła się odpinać.

Kieran słabo wykrztusił:

– Czy zrobiłem się zielony?

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Tak.

– To stara i dobrze znana przypadłość. Dostałem choroby morskiej. Każ Webberowi, by przestał zgrywać kolibra i opuścił to cholerstwo na dół.

Paula wykonała niecierpliwy gest, i ponownie zapięła pas.

Zwis i spadek, jeszcze raz, i ponownie. Małe, kołyszące odbicie, lekkie uderzenie. Ruch ustał. Webber przerzucił serię przełączników. Zapadła cisza.

Kieran powiedział:

– Powietrze?

****

Webber otworzył właz w ścianie kabiny. Napłynęła przez niego jasność. Kieran wiedział, ze musiało to być światło słoneczne, miało jednak jakiś dziwny kolor, coś w rodzaju ciemnego oranżu, który niósł ze sobą mile rozgrzewające ciepło.

Odpiął pasy, przy pomocy Pauli, i zatoczył się w stronę włazu. Powietrze pachniało czystym, wygrzanym przez słońce kurzem i jakimś rodzajem roślin. Kieran wydostał się ze szperacza, z pośpiechu praktycznie niemal wypadając. Chciał poczuć pod stopami stały grunt i nie obchodziło go do kogo on należał i gdzie był położony.

A kiedy jego buty głucho walnęły w czerwonobrunatny piasek, przyszło mu do głowy, że minęło już strasznie dużo czasu, odkąd miał stały grunt pod stopami. Naprawdę bardzo dużo czasu…

Jego wnętrzności ponownie zwinęły się w supeł, tym razem jednak nie była to choroba, ale strach. Pomimo gorących promieni młodego słońca, poczuł lodowaty chłód.

Nie bał się chwili obecnej lub przyszłości, ale przeszłości. Obawiał się rzeczy oznaczonej jako Reed Kieran, tej sztywnej, ślepej i pozbawionej głosu rzeczy, z wolna krążącej po swojej orbicie wokół Księżyca, towarzysza martwych światów i martwego kosmosu, brata zimna i ciemności.

Zaczął się cały trząść.

Paula potrząsała nim. Mówiła coś do niego, ale zupełnie jej nie słyszał. Słyszał jedynie strumień wiecznej ciemności przepływającej przez jego uszy, cichy pisk cienia muskającego gwiazdy. Gdzieś ponad nim unosiła się twarz Webbera, nacechowana gniewem i odrazą. Mówił coś do Pauli, kręcąc głową. Oboje jednak byli bardzo daleko. Kieran gdzieś ich zgubił, dryfując coraz dalej od nich, na fali czarnego przypływu. Wtedy nagle rozległo się coś, tak jakby eksplozja, szkarłatny rozbłysk na tle czerni, wybuch gorąca walczącego z zimnem. Wstrząśnięta i dzika, jakaś fizyczna część jego jaźni, wbiła swe szpony i wciągnęła go z powrotem do rzeczywistości.

Coś go raniło. Coś mu zagrażało. Położył dłoń na policzku i kiedy ją odsunął, była cała czerwona.

Paula i Webber szarpali go rozpaczliwie, próbując zmusić, żeby się ruszył.

****

Koło głowy śmignął mu kamień. Walnął w bok szperacza, z głośnym hukiem i upadł na ziemię. Przekaźniki nerwowe Kierana, w końcu zaskoczyły. Skoczył w stronę otwartego włazu. Automatycznie popychał przed sobą Paulę, próbując ją osłaniać, a ona posłała mu zdziwione i zaskoczone spojrzenie. Webber już był w środku. Dookoła zaklekotało więcej kamieni i jeden z nich drasnął Kierana w udo. Zabolało. Policzek również obficie krwawił. Wtoczył się do środka szperacza i odwrócił się by wyjrzeć przez właz. Wpadł w prawdziwą wściekłość.

– Kto to zrobił? – domagał się odpowiedzi.

Paula wskazała ręką na zewnątrz. Początkowo, Kierana rozpraszał trochę niecodzienny charakter krajobrazu. Szperacz spoczywał w morzu czerwonobrązowych piasków, urozmaicanych nieco przez jakieś nisko rosnące zielsko, w świetle słońca błyszczące jak szczere złoto. W oddali piaski układały się w pochyłych zboczach, z prawej strony stopniowo wznoszących się do rozmiarów gór, a po lewo równie stopniowo opadających w nieskończoność. Bezpośrednio przed szperaczem, i to całkiem dosłownie o rzut kamienia, widać było początek pasa grubych drzew, rosnących na brzegach rzeki, najwidoczniej dosyć szerokiego, ponieważ można było przez nie dojrzeć, jedynie jakieś nieznaczne błyski wody. Koryto jakim płynęła rzeka, było jednak wyraźnie wytyczone, przez biegnącą w kierunku gór krętą linię lasów, kończących się na jej brzegu. Takich drzew, Kieran nigdy przedtem w życiu nie widział. Wydawało się, że rośnie tam ich kilka odmian, wszystkie cechujące się groteskowymi kształtami i egzotycznymi kolorami. Niektóre z nich były nawet zielone, z długimi, zaostrzonymi liśćmi, wyglądającymi jak groty strzał.

Egzotyczne, czy nie, drzewa zapewniały znakomitą, gęstą osłonę. Kamienie nadlatywały, z głośnym świstem, właśnie od strony lasu. Kieran jednak w ogóle nie był w stanie dostrzec z którego miejsca padają, dopóki Paula nie wskazała mu poruszających się od czasu do czasu liści.

– Sakae? – zapytał cicho.

Webber parsknął.

– Kiedy Sakae nas znajdą, zorientujesz się natychmiast. Oni nie będą rzucać kamieniami.

– To są ludzie – dodała Paula. W jej głosie była jakaś pobłażliwa delikatność, która zirytowała Kierana.

– Myślałem, że oni są naszymi kochanymi małymi przyjaciółmi – powiedział.

– Przeraziłeś ich.

– *Ja* przeraziłem ich?

– Szperacza już kiedyś widzieli. Ale są niesamowicie wrażliwi na punkcie sposobu zachowania, i zauważyli, że ty nie zachowywałeś się normalnie. Myśleli, że jesteś chory.

– Tak więc, próbowali mnie zabić. Mili goście, nie ma co mówić.

– Walka o przeżycie – powiedział Webber. – Nie mogą sobie pozwolić na luksus nadmiernej uprzejmości.

– Dla siebie nawzajem są bardzo dobrzy – próbowała ich bronić Paula. Dodała w stronę Kierana. – Wątpię, czy naprawdę mieli zamiar cię zabić. Po prostu tylko chcieli cię stąd odpędzić.

– Och, w porządku – odparł Kieran. – W żadnym razie nie chciałbym ich rozczarować. Wynośmy się stąd.

Paula rzuciła mu wściekłe spojrzenie i zwróciła się do Webbera.

– Porozmawiaj z nimi.

– Mam nadzieję, że nie jest za późno – chrząknął Webber, zerkając z obawą w niebo. – Jesteśmy tu jak na tarczy strzelniczej. Uspokój swojego pacjenta. Jeszcze jeden taki pokaz lamentu i padania na pysk, i będziemy ugotowani.

****

Wziął duży plastikowy pojemnik i przesunął go bliżej w stronę drzwi.

Paula przyjrzała się policzkowi Kierana.

– Pozwól mi się tym zająć.

– Daj sobie spokój – powiedział. W tej chwili miał nadzieję, że Sakae, kimkolwiek lub czymkolwiek by oni nie byli, wkrótce tu przybędą i wsadzą tę parkę w odpowiednie miejsce, w którym spędzą resztę swojego życia.

Webber zaczął „rozmawiać”.

Kieran wpatrywał się w niego, zafascynowany. Spodziewał się użycia słów — prymitywnych słów, być może przypominających chrząkającą mowę ludzi z epoki kamiennej na Ziemi, ale jednak zawsze jakiegoś rodzaju słów. Tymczasem Webber zaczął wyć. Był to delikatny, uspokajający dźwięk, nieustannie powtarzający się w kółko, ale nie brzmiało to jak słowa. Grzechotanie kamieni osłabło, a następnie zupełnie ucichło. Webber nie przestawał jednak wydawać z siebie wyjącego zewu. Niebawem otrzymał odpowiedź. Webber odwrócił się i kiwnął głową Pauli, uśmiechając się. Sięgnął do plastikowego pojemnika i wyciągnął pełną garść brązowych kawałków, pachnących jak suszone owoce. Wyrzucił je na zewnątrz szperacza, na piasek. Potem wydał z siebie inny dźwięk, chrząkając i fukając. Odpowiedziała mu cisza. Webber powtórzył dźwięk ponownie.

Po trzeciej próbie, ludzie wyszli z lasu.

Łącznie, było ich może ze dwudziestu pięciu. Podchodzili powoli i ostrożnie, wykonując jeden, najwyżej dwa kroki na raz, a następnie zatrzymując się i rozglądając, gotowi do natychmiastowej ucieczki. Pierwsi podchodzili najsilniej zbudowani mężczyźni, prowadzeni przez jednego z nich, dobrze wyglądającego człowieka, w wieku nieco poniżej średniego, który najwidoczniej musiał być wodzem. Kobiety, starcy i dzieci, podążali za nimi, wyłaniając się stopniowo z cienia drzew, ale pozostając w miejscu, z którego mogli w mgnieniu oka zniknąć, na najmniejszą oznakę alarmu. Byli kompletnie nadzy, wysocy, smukli i wielkoocy, ich mięśnie dostosowane były raczej do zwinności i szybkości niż do potężnej siły. W świetle słońca ciała ludzi błyszczały lekkim brązem, i Kieran spostrzegł, że mężczyźni pozbawieni byli zarostu i mieli gładką, delikatną skórę. Zarówno mężczyźni jak i kobiety mieli długie włosy w kolorach zmieniających się od czarnego do płowego, bardzo czyste i błyszczące. Byli pięknymi stworzeniami, w tym sensie jak pięknymi stworzeniami są jelenie, pełne wdzięku, niewinne i dzikie. Mężczyźni podeszli do porozrzucanych dla nich kawałków suszonych owoców. Początkowo podnosili je, wąchali, odrywali kawałki, a następnie zaczęli je jeść, powtarzając chrząkająco-fukający zew. Kobiety, dzieci i starzy ludzie zdecydowali, że wokół jest bezpiecznie, i dołączyli do nich. Webber rozrzucił więcej owoców, a potem sam wyszedł ze szperacza, niosąc ze sobą plastikowe pudło.

****

– I co on zrobi teraz? – szepnął Kieran do Pauli. – Podrapie ich za uszami? Kiedy byłem dzieckiem, używałem tej sztuczki do oswajania wiewiórek.

– Zamknij się – ostrzegła go. Webber kiwnął w ich kierunku ręką, więc szturchnęła go, aby wyszedł ze szperacza. – Powoli i ostrożnie.

Kieran wysunął się ze szperacza. Wielkie, błyszczące oczy, zaczęły wodzić za nim wzrokiem. Jedzenie zostało przerwane. Część małych, pośpiesznie znikła za drzewami. Kieran zastygł bez ruchu. Webber ponownie zawył i nieco pofukał, i napięcie się rozluźniło. Kieran, razem z Paulą, podeszli do grupy. Nagle odniósł wrażenie, że to co robi, jest pełne fałszu. Czuł się jak aktor w kiepskim filmie obijający się wśród niewiarygodnych postaci w nieprawdopodobnej scenerii. Webber wydający śmieszne dźwięki i rozrzucający te swoje suszone owoce jak karykatura siewcy, Paula ze swoim chłodnym i dynamicznym profesjonalizmem, który cały rozpłynął się we mgle czułości, on sam w końcu, obcy w tym miejscu i czasie, i ci ludzie wyglądający na zupełnie normalnych, a zachowujący się jak orangutany, którym zgolono futro. Zebrało mu się na śmiech, ale pomyślał, ze lepiej tego nie robić. Kiedy już zacznie, być może nie będzie mógł się powstrzymać.

– Pozwól, żeby trochę się do ciebie przyzwyczaili – delikatnie powiedział Webber.

Paula ewidentnie kiedyś już tutaj była. Ona również zaczęła wydawać z siebie dźwięki, nieco inne wycie, bardziej podobne do gruchania gołębi. Kieran tylko stał bez ruchu. Ludzie krążyli wokół nich, obwąchując ich i dotykając. Nie rozmawiali między sobą, nie było żadnych śmiechów czy chichotów, nawet pomiędzy małymi dziewczynkami. Wyjątkowo piękna młoda kobieta, stała tylko tuż poza wodzem, obserwując obcych wielkimi, żółtymi, kocimi oczyma. Kieran założył, że była córka tego mężczyzny. Uśmiechnął się do niej. Jedynie wpatrywała się w niego, śmiertelnie poważnym i stanowczym wzrokiem, bez błysku uśmiechu w odpowiedzi. Wyglądało tak, jak gdyby wcześniej nigdy żadnego nie widziała. Kieran wzdrygnął się. Cała ta cisza i brak reakcji wydawały się niesamowite.

– Jestem szczęśliwy, mogąc ci oznajmić – szepnął do Pauli, – że nie podobają mi się te twoje domowe zwierzaczki.

Nie mogła sobie pozwolić na ostrą i gniewną reakcję. Jedynie odpowiedziała, szeptem:

– Oni nie są żadnymi zwierzakami domowymi. To nie zwierzęta. Oni…

Przerwała nagle. Wśród nagich ludzi przeleciał jakiś impuls. Wszystkie głowy się uniosły, wszystkie oczy odwróciły się od obcych. Uważnie nasłuchiwali. Nawet najmłodsi znieruchomieli.

Kieran poza wiatrem szumiącym w drzewach nie słyszał kompletnie niczego.

– Co…? – rozpoczął pytanie.

Webber wykonał gest nakazujący zachowanie ciszy. Scena trwała może jeszcze przez krótką chwilę. Potem brązowowłosy mężczyzna, który wydawał się być wodzem wydał z siebie krótki, ochrypły dźwięk. Ludzie odwrócili się, i znikli wśród drzew.

– Sakae – powiedział Webber. – Znikamy z widoku. – Pobiegł w stronę szperacza. Paula chwyciła Kierana za rękaw i pchnęła go w kierunku drzew.

– Co się dzieje? – zapytał, kiedy już biegli.

– Ich uszy są lepsze niż nasze. Wydaje mi się, że zbliża się statek patrolowy.

****

Cienie otuliły ich dookoła, pomarańczowe, poplamione złotem cienie dziwnych drzew. Kieran obejrzał się w tył. Webber siedział już wewnątrz szperacza. Po chwili wyskoczył przez właz i pobiegł w ich stronę. Za nim właz zamknął się, szperacz poruszył się, a następnie szumiąc głośno, sam odleciał.

– Odciągnie ich stąd na chwilę – wysapał zdyszany Webber. – Może stworzy dla nas szansę ucieczki.

On i Paula wyruszyli śladem umykających ludzi.

Kieran przez chwilę próbował się wykręcać.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem czemu miałbym przed kimkolwiek uciekać.

Webber wyciągnął z kieszeni jakiś przyrząd o wystającym dziobie, który na tyle przypominał broń, by stanowić bardzo przekonywujący argument. Wycelował nim w środek ciała Kierana.

– Powód pierwszy – powiedział. – Jeśli Sakae złapią tutaj Paulę i mnie, będziemy w poważnych kłopotach. Powód drugi. To jest rejon zamknięty, a ty w dodatku jesteś z nami, a więc *także ty* będziesz w poważnych kłopotach. – Popatrzył zimno na Kierana. – *Szczerze mówiąc*, ten pierwszy powód obchodzi mnie dużo bardziej.

Kieran wzruszył ramionami.

– No cóż, teraz już wiem. – Pobiegł razem z nimi.

Zaraz kiedy to zrobił, usłyszał dochodzące z nieba potężne warczenie.

6

Huczący dźwięk szybko zbliżał się w ich kierunku. Był to zupełnie odmienny odgłos niż szum szperacza, i Kieranowi zdawało się, słyszy w nim jakieś groźne nuty. Zatrzymał się na małej polance, skąd mógł spojrzeć w górę, pomiędzy drzewami. Chciał się przyjrzeć temu statkowi, lataczowi, czy jak tam nazywało się to urządzenie, które zbudowali i którym latali nieludzie.

Ale Webber wepchnął go szorstko w środek kępy przysadzistych drzew, które miały kolor wiśniowego wina i płaskie, grube liście.

– Nawet nie drgnij – warknął.

Paula przytuliła się do stojącego obok drzewa. Kiedy Webber mówił do niego, skinęła potakująco głową.

– Mają bardzo dobre skanery – Wskazała podbródkiem. – Zobacz. Potrafią się uczyć.

Chrapliwe ostrzegawcze szczeknięcia ludzi, rozbrzmiewały coraz słabiej, aż w końcu całkiem umilkły. Nie drgnęła nawet jedna gałązka, poza naturalnymi ruchami spowodowanymi przez wiatr. Ludzie skrywali się między drzewami tak nieruchomo, że Kieran nawet by ich nie zauważył, gdyby nie wiedział, że tam byli. Pojazd patrolowy, rycząc przeleciał obok, coraz bardziej zwiększając swą szybkość. Webber wyszczerzył zęby.

– Co najmniej parę godzin zajmie im gruntowne przejrzenie i przebadanie szperacza. Do tego czasu zrobi się już ciemno, a rano będziemy już w górach.

Ludzie już wyruszyli w dalszą drogę. Zmierzali w górę rzeki, poruszając się stałym, szurającym truchtem. Trojka kobiet, jak zauważył Kieran, w swoich ramionach niosła dzieci. Starsze dzieci, biegły obok swoich matek. Dwóch mężczyzn i kilka kobiet miało siwe włosy. Biegli jednak również, tak samo jak wszyscy.

– Spodobało ci się oglądanie ich w biegu? – zapytała Paula, z ostrą nutą gniewu w głosie. – Czy teraz w końcu wyglądają dla ciebie dostatecznie dobrze?

– Nie – odparł Kieran, marszcząc brwi. Spojrzał w kierunku, z którego dobiegał, cichnący już dźwięk pojazdu patrolowego.

– Ruszamy za nimi – powiedział Webber. – Jak tak dalej pójdzie, zostawią nas kawał za sobą.

****

Kieran podążał pośpiesznie przez las za nagimi ludźmi, biegnąc wzdłuż brązowej rzeki. Paula i Webber swobodnie truchtali koło niego. Cienie drzew coraz bardziej się wydłużały, sięgając z drugiej strony rzeki, przez wodę.

Paula nieustannie spoglądała na niego z niepokojem, jakby starając się dostrzec jakikolwiek ślad słabości z jego strony.

– Dobrze sobie radzisz – powiedziała. – Powinieneś. Twoje ciało zostało doprowadzone do normalnego stanu i pełni sił, zanim jeszcze cię obudziliśmy.

– W każdym razie, zwolnią, kiedy będzie ciemno – powiedział Webber.

Starzy ludzie i małe dzieci, biegli także silnym, równym tempem.

– Czy tam leży ich wioska? – zapytał Kieran, wskazując na odległe góry.

– Oni nie żyją we wioskach – powiedziała Paula. – Ale w górach będzie bezpieczniej. Więcej miejsc w których można się ukryć.

– Mówiłaś, że to był obszar zamknięty. Do czego służy, rezerwat łowiecki?

– Sakae już na nich nie polują.

– Ale kiedyś to robili?

– Cóż – wtrącił Webber, – bardzo dawno temu. Nie dla jedzenia, ponieważ Sakae są wegetarianami, ale…

– Ale – dokończyła Paula, – dlatego że byli rasą dominującą, a ludzie to po prostu zwierzęta, żerujące na polach. Kiedy dochodziło do współzawodnictwa o ziemię i żywność, ludzie byli zabijani, albo przeganiani. – Ekspresyjnie wskazała ręką na teren poza drzewami. – Jak myślisz, czy oni z własnej woli żyją na tej pustyni, wiodąc mizerną egzystencję wśród szlaków wyznaczanych przez najmniejsze strumyki wody? To jest ziemia, której Sakae nie chcieli. Teraz, oczywiście, nie mają więc żadnych obiekcji, aby pozostawić ją na boku, jako coś w rodzaju rezerwatu dzikiej przyrody. Sakae mówią nam zawsze, że ludzie są pod ochroną. Prowadzą naturalny dla nich tryb życia, w swoim naturalnym środowisku, a kiedy domagamy się objęcia ich programem…

Straciła dech, i musiała przerwać, ciężko sapiąc. Webber dokończył zamiast niej.

– Chcemy ich uczyć, podnieść ich z tego stanu nagiego barbarzyństwa. Sakae twierdzą natomiast, że to niemożliwe.

– Czy to prawda? – zapytał Kieran.

– Nie – wściekle powiedziała Paula. – To jest kwestia dumy. Chcą utrzymać swoją dominację, a więc po prostu nie chcą przyznać, że ludzie są czymś więcej niż tylko zwierzętami, oraz nie chcą dać im szansy, by czymś więcej się stali.

Na tym rozmowa się zakończyła, ale nawet wówczas trójka cudzoziemców, stawała się coraz bardziej zmęczona, i ludzie zyskiwali nad nimi coraz większą przewagę. Słońce zaszło w blasku krwisto-pomarańczowego światła, które zabarwiło drzewa na jeszcze bardziej nieprawdopodobne kolory, i na krótko spowiło rzekę w płomieniach. Potem nadeszła noc, i tuż po zapadnięciu ciemności sprowadziła z powrotem pojazd patrolowy, który huczał latając wzdłuż krętego koryta rzeki. Kieran krył się pod czarnymi drzewami, czując jak włosy wstają mu na skórze. Po raz pierwszy w życiu czuł się jak ścigana zwierzyna. Po raz pierwszy w życiu poczuł również swój własny osobisty gniew.

Pojazd patrolowy zadudnił w oddali i zniknął.

– Nie wrócą przed świtem – powiedział Webber.

****

Wyciągnęli z kieszeni małe płaskie pakiety, ze skoncentrowaną żywnością. Chrupali je podczas marszu. Nikt się nie odzywał. Wiatr, który ucichł o zachodzie słońca, po kilku kwadransach wzmógł się i zaczął znowu mocno wiać. Zrobiło się zimno. Po pewnym czasie dogonili ludzi, którzy zatrzymali się aby odpocząć i coś zjeść. Dzieci i starzy ludzie, nad którymi Kieran tak się litował i tak się o nich martwił, byli w dużo lepszym stanie niż on. Zaczerpnął wody z rzeki i napił się, a potem usiadł. Paula i Webber siedli obok niego, na ziemi. Od strony pustyni wiał silny wiatr, suchy i zimny. Drzewa nad głowami szumiały i uderzały jedno o drugie. Na tle bladej poświaty wody, Kieran mógł obserwować nagie ciała, poruszające się wzdłuż brzegu rzeki, brnące pochylone, grzebiące w mule. Najwyraźniej znaleźli tam jakieś rzeczy, o których wiedzieli, że są jadalne. Gdzieś w pobliżu, inni ludzie odzierali drzewa z owoców lub orzechów. Jeden z mężczyzn podniósł kamień, uderzył nim w coś, z głośnym trzaskiem, a potem go wyrzucił. Z łatwością poruszali się w ciemnościach, tak

jakby byli do tego przyzwyczajeni. Kieran rozpoznał żółtooką córkę przywódcy, jej piękna smukła sylwetka rysowała się wyraźnie na tle blado połyskującej wody. Stała po kostki w miękkim błocie, trzymając coś mocno oburącz i jedząc.

Pot na Kieranie nieco obsechł. Zaczął dygotać z zimna.

– Czy jesteście pewni, że statek patrolowy nie wróci? – zapytał.

– Nie, dopóki nie będą mogli widzieć tego, czego szukają.

– Czyli, jak mi się wydaje, jest bezpiecznie? – Zaczął macać wokoło, usiłując wyczuć suche patyki.

– Co robisz?

– Próbuję zebrać nieco drewna na opał.

– Nie. – Paula natychmiast znalazła się koło niego, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie, nie wolno ci tego robić.

– Ale Webber mówił…

– Nie chodzi o statek patrolowy, Kieran. Tu chodzi o ludzi. Oni…

– Oni co?

– Mówiłam ci przecież, że są dosyć nisko na skali rozwoju społecznego. To jest jedna z podstawowych rzeczy, których trzeba ich nauczyć. W tej chwili ciągle uważają ogień za coś niebezpiecznego, coś od czego trzeba uciekać.

– Rozumiem – powiedział Kieran i upuścił zebrane na opał drewno. – Bardzo dobrze, skoro nie mogę rozpalić ognia, będę miał ciebie. Twoje ciało mnie ogrzeje.

Wziął ją w ramiona.

****

Złapała głęboki oddech, bardziej z zaskoczenia niż zaniepokojona.

– O czym ty mówisz?

– To tylko kwestia ze starego filmu. Tak faktycznie, to z kilku starych filmów. Niezłe, co?

Trzymał ja mocno. Dobrze było poczuć w ramionach kobietę. Po chwili odepchnął ją lekko od siebie.

– To była pomyłka. Chcę móc nadal cię nie lubić, bez żadnych rozważań o innych możliwościach.

Roześmiała się. Osobliwie stanowczy, cichy dźwięk.

– W twoim dzisiejszym dniu rzeczywiście wszystko było kompletnie zwariowane? – spytała. A potem: – Reed…

Po raz pierwszy użyła jego imienia.

– Słucham?

– Kiedy rzucali w nas kamieniami i wycofywaliśmy się do szperacza, popychałeś mnie przed sobą. Ochraniałeś mnie. Dlaczego?

Wpatrywał się w nią, a raczej w jej słabo widoczną, rozmytą postać, stojącą blisko niego.

– Cóż, mężczyźni zawsze mieli we zwyczaju tak się zachowywać… Ale jak sobie tak teraz o tym pomyślę, to Webber specjalnie się tobą nie przejmował.

– Nie – powiedziała Paula. – Dawno temu, w twoich czasach, kobieta nadal korzystała z podwójnych standardów, domagając się pełnej równości z mężczyznami, ale trzymając się swojego specjalnego statusu. Mamy to już poza sobą.

– Czy to ci się podoba? To znaczy, chodziło mi o to poza sobą?

– Tak – powiedziała. – To miło z twojej strony, ze to zrobiłeś, ale…

Nagle odezwał się Webber.

– Oni znowu zbierają się do drogi. Idziemy.

Ludzie tym razem maszerowali rozciągnięci w długą linię, idąc pomiędzy drzewami a wodą, gdzie było nieco lepsze światło i teren był bardziej otwarty. Trójka przybyszów, człapała za nimi niezdarnie, w swoich butach i ubraniach. Długie włosy ludzi powiewały na wietrze, a ich bose stopy wędrowały miękko, lekko i szybko.

Kieran spojrzał w górę, na niebo. Większą jego część zaciemniały drzewa, tak więc mógł dostrzec jedynie kilka rozproszonych gwiazd, bezpośrednio nad głową. Pomyślał jednak, że skoro jest tak widno, to gdzieś tam na niebie musi być jakiś księżyc.

Zapytał Paulę, a ona odparła.

– Poczekaj trochę. Zobaczysz później.

Noc i rzeka pozostawały powoli za nimi. Blask księżyca stał się jaśniejszy, ale był on jakoś dziwnie odmienny od światła księżyca zapamiętanego przez Kierana z odległych czasów i jeszcze odleglejszego miejsca. Tamten miał w sobie płomień zimnego spokoju, to światło natomiast nie było ani zimne, ani spokojne. Wydawało mu się, że również jego kolor się zmienia, co czyniło je jeszcze mniej przydatnym do nocnej wędrówki, niż białe światło księżyca, do którego był przyzwyczajony. Czasami, przefiltrowane przez drzewa, wyglądało na lodowato-zielone, to znowu było czerwonawe, bursztynowe, albo niebieskie.

Doszli do miejsca, gdzie rzeka robiła szerokie zakole, przy którym ścięli drogę przez otwarty teren, pozbawiony drzew. Paula dotknęła ramienia Kierana i wskazała mu ręką, mówiąc:

– Popatrz.

Kieran skierował wzrok za jej ręką, i aż stanął jak wmurowany. To nie była poświata księżyca, i jej źródłem w ogóle nie był księżyc. To było kuliste skupisko gwiazd, wiszące na niebie jak rój ognistych pszczół, płonący i pulsujący szeroką gamą kolorów, brylantową bielą i złotem, zielenią i purpurą, pawim błękitem i przydymioną umbrą. Kieran wpatrywał się w ten widok jak zauroczony, a stojąca obok niego Paula wyszeptała:

– Byłam w życiu na wielu różnych planetach, ale na żadnej z nich nie widziałam czegoś równie wspaniałego.

Ludzie przemieszczali się w szybko naprzód, zupełnie nie zwracając uwagi na niebo.

Kieran z niechęcią ruszył za nimi w głąb zacienionego lasu. Nieustannie spoglądał na otwarty kawałek nocnego nieba nad rzeką, czekając aż kolorowe skupisko gwiazd wzniesie się na firmamencie na tyle wysoko, aby ponownie mógł je ujrzeć.

Minęło nieco czasu od tej chwili, ale zanim jeszcze skupisko gwiezdne wychynęło na czyste niebo ponad drzewami, Kieran odniósł nieodparte wrażenie, że ktoś lub coś za nimi idzie.



7

Zatrzymał się na chwilę, aby złapać oddech i wytrząsnąć z butów zebrany w nich piach. Oparł się plecami o drzewo, osłaniając się nim od wiatru, tak więc musiał stanąć tyłem do ścieżki którą podążali. Nagle wydało mu się, że zauważył jakiś poruszający się cień, w miejscu, gdzie nie było niczego, co mogłoby go rzucać. Wyprostował się, czując małe dzwoneczki alarmowe, rozbrzmiewające w całej głowie, ale nie zdołał niczego więcej dojrzeć. Pomyślał więc, że musiał się pomylić. W każdym razie, ruszył biegiem dalej, aby dogonić pozostałych.

Ludzie poruszali się równym tempem. Kieran wiedział, że ich zmysły są dużo bardziej wyczulone niż jego, a ewidentnie nie byli oni świadomi jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, oczywiście poza podstawową kwestią obecności Sakae. Zdecydował więc, że musiało się mu przywidzieć.

Nie mógł jednak pozbyć się tego natrętnego wrażenia. Znowu został z tyłu, tym razem celowo, po tym jak przebiegli przez polanę. Stał ukryty za pniem drzewa i obserwował. Światło skupiska gwiezdnego, było teraz jasne, ale bardzo zwodnicze dla oka. Usłyszał szelest, którego, chyba nie mógł spowodować wiatr, a potem wydało mu się, że coś ruszyło biegiem przez polanę, ale nagle zatrzymało się, jakby pochwyciwszy jego zapach.

Wtedy wpadł w lekką panikę. Zaczęło mu się zdawać, że słyszy podejrzane szelesty po obu stronach polany. Jakieś otaczające go odgłosy ukradkowego skradania, coraz bardziej zbliżające się w jego kierunku. To tylko wiatr, mówił sobie, usiłując się uspokoić, ale odwrócił się i pobiegł za pozostałymi. Tym razem spotkał Paulę, która zawróciła by go poszukać.

– Reed, wszystko w porządku? – spytała. Złapał ją za rękę, obrócił dookoła i zerwali się do biegu. – Co się stało? O co chodzi?

– Nie wiem. – Biegli razem, dopóki nie zobaczyli z przodu Webbera, a za nim gołe plecy i rozwiane włosy ludzi.

– Słuchaj – powiedział, – czy tu są jakieś drapieżniki?

– Tak – powiedziała Paula, a Webber odwrócił się ostro.

– Czy coś widziałeś?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że tak. Nie jestem pewien.

– Gdzie?

– Za nami.

Webber wydał z siebie chrapliwe szczeknięcie, oznaczające niebezpieczeństwo, i ludzie stanęli. Stali, uważnie wpatrując się w tył, obserwując drogę, którą przyszli. Kobiety złapały dzieci, a mężczyźni wrócili się do miejsca, w którym stał Webber. Patrzyli i nasłuchiwali, wciągając głęboko powietrze. Kieran również wytężał słuch, ale nie słyszał żadnych szelestów, poza uderzeniami gałęzi, wysoko ponad nimi. Nie było widać niczego, co by się ruszało, a wiatr nie niósł ze sobą żadnego ostrzegawczego zapachu.

Mężczyźni odwrócili się z powrotem. Ludzie ponownie wyruszyli w dalszą drogę. Webber wzruszył ramionami.

– Musiało ci się coś pomylić, Kieran.

– Może. Albo może to oni nie są wstanie pomyśleć o czymś bardziej złożonym. Jeśli nie mogą czegoś wywąchać, to tego nie ma. Jeśli coś podąża za nami, to podchodzi nas pod wiatr,

tak jak robi to każde z polujących zwierząt. Paru mężczyzn powinno krążyć dookoła pozostałych i…

– Idziemy – zmęczonym głosem powiedział Webber.

****

Podążali za ludźmi, cały czas wzdłuż rzeki. Skupisko gwiazd, znajdowało się teraz wysoko na niebie, a rój słońc wyraźnie odbijał się w płynącej wodzie, pobłyskując kalejdoskopem marszczących się w nurcie rzeki kolorów.

Kobiety niosły obecnie mniejsze dzieci ze sobą. Te, które były zbyt duże, żeby je dźwigać, zaczęły trochę zostawać z tyłu. Nie za bardzo, przynajmniej na razie. Kieran, zdający sobie doskonale sprawę, że jest słabszy niż najsłabsze z nich, spoglądał do przodu, na zamglony zarys potężnych gór, powtarzając sobie w duchu, że na pewno da radę do nich dotrzeć. Wcale jednak nie był tego taki pewien.

Rzeka robiła kolejny skręt. Szlak prowadził prosto poprzez jej zakole, wolne od drzew. Zakręt był obszerny, droga przez jego szyjkę miała może ze dwie mile. Z przodu, w miejscu gdzie szlak łączył się ponownie z rzeką, widać było skaliste wzgórze. Coś w jego zarysie nie podobało się Kieranowi, ale było do niego zbyt daleko, aby być czegokolwiek pewnym. W górze skupisko gwiazd płonęło wspaniałym ogniem. Ludzie wyruszyli w poprzek zakola, przez piasek.

Webber obejrzał się do tyłu.

– Widzisz – powiedział. – Niczego tam nie ma.

Poszli dalej. Kieran już zaczynał się czuć bardzo zmęczony, cała ta sztuczna siła, jaką wpompowano w jego organizm przed obudzeniem, teraz kompletnie się wyczerpała. Webber i Paula również wędrowali ze spuszczonymi głowami, prąc do przodu z determinacją, ale bez radości.

– Co myślisz teraz? – zapytała Kierana. – Czy dla ludzi jest jakaś szansa na przeżycie?

Przed nimi poruszała się poszarpana linia kobiet i dzieci, prowadzona przez mężczyzn. Kieran pomyślał, że taka zdolność dzieci do tak długich wędrówek, była czymś nienaturalnym, ale potem przypomniał sobie, że zawsze młode gatunków niedrapieżnych musiały być silne i szybkie już w bardzo wczesnym wieku.

Nagle jedna z kobiet wydała z siebie chrapliwy, ostry skrzek.

Kieran spojrzał w to miejsce, w które patrzyła, w stronę rzeki, na zakrzywionej linii drzew. Przez piasek prześlizgiwał się duży, czarny cień. Spojrzał za niego. Pojawiły się tam również kolejne cienie, wypadające spoza drzew długimi, lekkimi skokami, i rozpraszające się w płytki wachlarz. Przypominały Kieranowi pewne zwierzęta, które kiedyś widział w ZOO, częściowo podobne do kota, częściowo do psa. Wydawało mu się, że nazywało się gepard, tylko ze gepardy były cętkowane jak lamparty, a te stworzenia były czarne i miały sztywne, sterczące w górę uszy. Zaczęły ujadać i pościg ruszył.

– Mówisz, że nic – kwaśno powiedział Kieran. – Ja naliczyłem siedem.

Webber odparł.

– Mój Boże, ja…

****

Ludzie ruszyli biegiem. Próbowali przedrzeć się z powrotem w stronę rzeki i drzew, na które mogli wspiąć się w poszukiwaniu bezpieczeństwa, ale łowcy zmusili ich do zawrócenia. Uciekali więc na ślepo do przodu, w kierunku wzgórza. Biegli ze wszystkich sił, nie wydając żadnych dźwięków. Kieran i Webber uciekali razem z nimi, a Paula pośrodku między nimi. Webber wydawał się być kompletnie przerażony.

– Gdzie ta broń, którą miałeś? – wysapał Kieran.

– To nie jest broń, tylko obezwładniacz o krótkim zasięgu – odpowiedział. Nie da rady zatrzymać tych bydląt. Popatrz tylko na nie.

Skakały dookoła, wyraźnie się nimi bawiąc, wydając podobne do śmiechu wycia. Były tak duże jak lamparty, a ich oczy jarzyły się w świetle skupiska gwiazd. Wydawało się, że doskonale się bawią, tak jakby polowanie było najwspanialszą rozrywką na świecie. Jeden z nich podbiegł na odległość dwóch stóp od Kierana i klapnął na niego potężnymi szczękami, zwinnie się uchylając, kiedy ten podniósł swoją rękę. Poganiały ludzi coraz szybciej i szybciej. Początkowo mężczyźni otaczali kobiety i dzieci. Formacja jednak zaczęła się rozpadać, kiedy słabsi pozostawali coraz bardziej z tyłu, i nie podjęto żadnej próby, by ją utrzymać. Panika stała się silniejsza niż instynkt. Kieran popatrzył naprzód.

– Jeśli uda nam się utrzymać do wzgórza…

Paula krzyknęła, a on potknął się o dziecko, dziewczynkę w wieku około pięciu lat, pełznącą na rękach i kolanach. Podniósł ja w górę. Uderzała go, biła i szarpała, jej nagie małe ciało było sztywne jak fiszbin i śliskie od potu. Nie był w stanie jej utrzymać. Wyrwała się kopniakiem na wolność, i dziko pognała poza zasięg jego rąk. Jeden z czarnych łowców rzucił się na nią i porwał ze sobą, krzyczącą cienkim głosem, jak świeżo opierzone ptasie pisklę w szczękach kota.



– O mój Boże – powiedziała Paula i zakryła twarz rękoma, próbując odciąć się od otaczających ją widoków i dźwięków.

Złapał ją szorstko i powiedział.

– Tylko mi tu nie zemdlej, bo nie dam rady cię nieść.

Matka dziecka, którakolwiek z kobiet by nią była, nawet się nie obejrzała.

Stara kobieta, która odbiła w bok, została przewrócona na ziemię, a potem odciągnięta. Podobnie jeden z siwowłosych mężczyzn. Wzgórze było coraz bliżej. Kieran teraz już widział, co niewłaściwego było w jego wyglądzie. Część jego zbocza zajmował budynek. Był zbyt zmęczony i zbyt chory, aby się nim zainteresować, poza możliwością schronienia, jaką oferował. Próbował powiedzieć coś Webberowi, z największą trudnością, ponieważ był zupełnie wyczerpany. I wtedy zauważył, że Webbera nie ma koło nich.

****

Webber potknął się i upadł. Już zaczynał się podnosić, ale łowcy rzucili się na niego. Odwrócił się w ich stronę, opierając się na łokciach i kolanach, wrzeszcząc na zwierzęta, by od niego odeszły. W oczywisty sposób widać było, że miał niewielkie, albo nawet żadne doświadczenie w stawianiu czoła brutalnej przemocy. Kieran biegł w jego kierunku, mając tuż za plecami Paulę.

– Użyj swojej broni! – wrzasnął. Bał się czarnych łowców, ale przepełniała go wściekłość, która przezwyciężyła lęk.

Wrzeszczał na nie, dziko przeklinając. Ciskał im piasek w ślepia, a jednego, skradającego się z boku do Webbera, kopnął z całej siły. Stworzenie nieco się cofnęło, raczej zaskoczone niż przestraszone. Nie były przyzwyczajone do takiego sposobu traktowania przez ludzi.

– Twoja broń! – ponownie zaryczał Kieran, i Webber wyciągnął z kieszeni zakończoną rzecz zakończoną ostrym dziobem. Stał i powiedział niepewnie:

– Mówiłem ci, że to nie jest broń. Ja nie mógłbym nikogo zabić. Nie wydaje mi się…

– Użyj jej – powiedział Kieran. – A potem znów ruszamy. Powoli.

Właśnie mieli zamiar ponownie ruszyć, kiedy z nieba przemówił potężny, jak grom, stalowy głos:

– Proszę na ziemię! – powiedział. – Położyć się płasko.

Kieran zaskoczony odwrócił głowę. Od strony budynku na wzgórzu, w ich kierunku pędził jakiś pojazd.

– Sakae – powiedział Webber, prawie z westchnieniem ulgi. – Kładź się.

Kiedy tylko Kieran to zrobił, zobaczył jak z pojazdu wystrzelił blady błysk, uderzając łowcę ciągle trzymającego się flanki uciekających ludzi. Wtulił się w piach. Coś jęcząc i świszcząc przeleciało tuż nad jego głową, a następnie usłyszał uderzenie i skrzeczenie trafionego zwierzęcia. Powtórzyło się to jeszcze raz, a potem stalowy głos przemówił ponownie.

– Możecie już się podnieść. Proszę pozostać tam gdzie jesteście. – Pojazd znajdował się dużo bliżej. Zostali skąpani w nagłym świetle. Po chwili głos dorzucił: – Panie Webber, trzyma pan broń. Proszę rzucić ją na ziemię.

– To tylko mały obezwładniacz – żałośnie powiedział Webber. Posłusznie go jednak odrzucił.

Pojazd miał szerokie gąsienice, które wyrzucały w górę całe chmury piasku. Pobrzękując podjechał do nich i zatrzymał się. Kieranowi, osłaniającemu oczy, wydawało się, że dostrzega siedzące w środku stworzenia, kierowcę i pasażera.

****

Pasażer wyłonił się z pojazdu, z pewną trudnością schodząc z wysokiego stopnia gąsienicy, a jego ogon ciągnął się za nim jak długi, gruby kabel. Kiedy już znalazł się na ziemi, poruszał się całkiem zwinnie, paradując na swoich potężnych nogach z jakimś dziwnym swoistym wdziękiem. Podszedł do nich, a jego uwaga skupiała się na Kieranie. Zachowywał się jednak uprzejmie, kładąc swą delikatną rękę na piersi i wykonując lekki ukłon.

– Doktor Ray – Jego pysk ukształtowany był na podobieństwo czegoś w rodzaju kaczego dzioba, tym niemniej jednak wymówił nazwisko Pauli całkiem poprawnie. – A pan, jak sądzę, nazywa się Kieran.

– Tak – odparł Kieran. Nad ich głowami płonęło skupisko gwiazd. Za nimi leżały martwe bestie, a ludzie ze swoimi rozwianymi włosami, odbiegli już poza zasięg wzroku. Przez sto lat był martwy, a teraz ponownie wrócił do życia. Znajdował się na obcej ziemi, stojąc twarzą w

twarz z obcą formą życia, komunikując się z nią, i był tak piekielnie zmęczony, a końcówka każdego nerwu tak mu dawała znać o sobie, że nie miał siły zareagować w żaden inny sposób. Po prostu tylko patrzył na Sakae, tak jakby patrzył na zwykłego strażnika, i powiedział – Tak.

Sakae ponownie wykonał swój lekki formalny ukłon.

– Nazywam się Bregg. – Pokręcił głową. – Cieszę się, że zdołałem dotrzeć do was na czas. Pańscy ludzie wydają się nie zwracać najmniejszej uwagi na to ile nam sprawiają kłopotów…

Paula, która od czasu porwania dziecka nie powiedziała nawet słowa, nagle wrzasnęła na Bregga:

– Morderca!

Skoczyła na niego, bijąc go rękoma, w ślepej histerii.



8

Bregg ciężko westchnął. Złapał Paulę tymi swoimi delikatnymi małymi rączkami, które okazały się być zdumiewająco silne, i przytrzymał ją od siebie w odległości wyciągniętej ręki.

– Doktor Ray – powiedział. Potrząsnął nią lekko. – Doktor Ray – przestała krzyczeć. – Nie chcę dawać pani środka uspokajającego, ponieważ potem powie pani, że panią znarkotyzowałem. Ale zrobię to, jeśli będę musiał.

Kieran powiedział.

– Przypilnuję, żeby była już spokojna.

Zabrał ją od Bregga. Opadła mu na pierś i zaczęła płakać.

– Mordercy – wyszeptała. – Ta mała dziewczynka, ci starzy ludzie…

Wtrącił się Webber.

– Powinien pan eksterminować te bestie. Nie może pan pozwolić im polować w taki sposób na ludzi. To… to…

– Nieludzkie. To zdaje się słowo, którego pan szuka – powiedział Bregg. Jego głos był niezmiernie zmęczony. – Proszę wsiąść do samochodu.

Weszli do środka. Samochód zrobił koło i popędził z powrotem w kierunku budynku. Paula cała dygotała, tak więc Kieran trzymał ją przez cały czas w objęciach. Po chwili, może dwóch odezwał się Webber.

– Jak to się stało, że się tu pojawiłeś, Bregg?

– Kiedy złapaliśmy szperacza i stwierdziliśmy, że jest pusty, oczywiste było, że jesteście razem z ludźmi i najważniejszą sprawą było znalezienie was, zanim zrobicie sobie coś złego. Pamiętałem, że szlak biegnie w pobliżu zabudowań tej starej strażnicy, a więc kazałem żeby statek patrolowy zrzucił nas tutaj w pojeździe awaryjnym.

Kieran powiedział:

– Wiedział pan, że ludzie będą szli tą drogą?

– Oczywiście – w głosie Bregga zabrzmiało zaskoczenie. – Migrują tędy każdego roku, na początku pory suchej. Jak pan myśli, w jaki sposób Webber ich tak łatwo znalazł?

Kieran wymownie popatrzył na Webbera. Potem zapytał.

– A więc oni nie uciekali przed Sakae?

– Oczywiście, że uciekali – powiedziała Paula. – Sam przecież widziałeś, jak kryli się miedzy drzewami, kiedy nadleciał statek patrolowy.

– Statki patrolowe ich płoszą – odparł Bregg. – Czasami nawet doprowadzają do ich panicznej ucieczki, zupełnie na ślepo. Dlatego używamy ich tylko w nagłych wypadkach. Ludzie nie łączą statków z nami.

– To – stanowczo powiedziała Paula, – jest kłamstwo.

Bregg westchnął.

– Entuzjaści zawsze wierzą w to w co chcą wierzyć. Proszę pójść ze mną i zobaczyć samemu.

Zesztywniała.

– Co im pan zrobił!?

– Schwytaliśmy ich w pułapkę – odparł Bregg, – a teraz musimy trochę ich pokłuć igłami. Nawiasem mówiąc, procedura ta spowodowana została przez waszą tutaj obecność, doktor Ray. Ludzie są bardzo podatni na importowane wirusy, jak zresztą sama pani powinna pamiętać. Jedna z pani małych grup społeczników, uszczęśliwiających innych na siłę, parę lat

temu, odniosła poważny sukces, przynosząc zagładę całemu ich stadu. Tak więc, szczepienia i kwarantanna.

****

Cały teren wokół budynku, oświetlony był jaskrawym światłem. Samochód pędził w jego kierunku.

Kieran powiedział z zastanowieniem:

– Dlaczego po prostu nie pozabijacie tych łowców, tylko godzicie się z ich atakami?

– Panie Kieran, czy w pańskich czasach — tak, słyszałem o panu wszystko — czy w pańskich czasach, na Ziemi, eksterminowano drapieżniki, tylko po to aby ich naturalna zdobycz mogła sobie żyć bardziej szczęśliwie?

Długi pysk Bregga i jego pochyła czaszka odbijały się wyraźnym profilem na tle świateł.

– Nie – odparł Kieran. – Nie robiliśmy tego. Ale w naszym przypadku to wszystko były dzikie zwierzęta.

– Dokładnie – powiedział Bregg. – Nie, proszę zaczekać, doktor Ray. Proszę oszczędzić mi wykładu. Mogę dać pani dużo lepszy powód po temu, taki z którym nawet pani nie może dyskutować. To kwestia ekologii. Liczba ludzi corocznie zabijanych przez te drapieżniki jest nieznaczna, ale one zabijają również olbrzymią liczbę małych zwierząt, z którymi ludzie konkurują o pożywienie. Gdybyśmy eksterminowali łowców, małe zwierzęta mnożyłyby się tak szybko, że ludzie wkrótce poumieraliby z głodu.

Samochód zatrzymał się obok wzgórza, na krawędzi oświetlonego obszaru. Zbudowany tu został rodzaj prowizorycznej zagrody, z drucianym ogrodzeniem i szerokimi skrzydłami, pozwalającymi zapędzić ludzi do aneksu, w którym zamknięto za nimi bramę. Kiedy grupa z samochodu zbliżyła się do zagrody, pełniło przy niej straż dwóch Sakae. Wewnątrz ogrodzenia, Kieran widział leżących ludzi, porozkładanych w pozycjach wskazujących na krańcowe wyczerpanie. Wydawało się, że teraz niczego już się nie obawiają. Kilku z nich piło wodę, ze specjalnego, przeznaczonego dla nich zbiornika. Wokół na ziemi porozrzucane było dla nich pełno jedzenia.

Bregg powiedział coś w swoim języku do jednego ze strażników, który wyglądał na zaskoczonego i przez chwilę o czymś z nim dyskutował, a potem odszedł, mocno podskakując na swoich potężnych nogach.

– Proszę poczekać – powiedział Bregg.

Poczekali więc i po chwili albo dwóch, strażnik wrócił, prowadząc na łańcuchu jedno z czarnych polujących zwierząt. Była to samica, nieco mniejsza od tych, z którymi walczył Kieran, miała również białe łaty na gardle i na piersi. Zawyła i skoczyła na Bregga, wciskając swój wielki łeb w jego ramiona i wiercąc się z zachwytem. On pieścił ją, przemawiając do niej, a ona cieszyła się po psiemu i lizała jego policzki.

– Łatwo się oswajają – powiedział. – Mieliśmy udomowioną rasę już od wieków.

Podszedł nieco bliżej zagrody, mocno trzymając łańcuch zwierzęcia. Nagle samica zauważyła obecność ludzi. W jednej chwili dobroduszny domowy pupil zmienił się w warczącą wściekłą furię. Stanęła na tylnych łapach i wręcz wyła, a ludzie wewnątrz zagrody poderwali się na nogi. Teraz jednak nie byli wystraszeni. Pluli i wyzywali, wyskrobując i wyrywając z ziemi kamienie, piasek oraz kawałki jedzenia, by rzucać nimi przez ogrodzenie. Bregg podał łańcuch strażnikowi, który odciągnął siłą szalejące zwierzę.

Paula powiedziała zimno:

– Jeśli pańskim celem było pokazanie, ze ludzie nie są mili dla zwierząt, moja odpowiedź będzie taka, że trudno mi jest ich za to winić.

– W zeszłym roku – powiedział Bregg, – kilku ludzi złapało dwoje jej młodych. Zostały rozerwane na kawałki, zanim zdołaliśmy je uratować, a ona to wszystko widziała. Jej również nie mogę winić.

Podszedł dalej, do bramy, otworzył ją i wszedł do środka. Ludzie cofnęli się od niego. Niektórzy nawet pluli w jego stronę i rzucali kamieniami i jedzeniem. Przemówił do nich surowo, tonem jakim mówi się do niezdyscyplinowanych psów, używając słów swojego języka. Ludzie zaczęli kręcić się dookoła, wyraźnie czując się nieswojo. Przestali rzucać w niego znalezionymi przedmiotami. Stał, spokojnie czekając.

Żółtooka dziewczyna wysunęła się ukradkiem do przodu i zaczęła się ocierać o jego udo, głowę, ramię i bok. Sięgnął w dół i pogłaskał ją, a ona pisnęła z radości i wygięła w łuk swoje plecy.

– Och, na miłość Boską – powiedział Kieran. – Chodźmy już stąd.

Później, usiedli zmęczeni na przewróconych blokach cementu, wewnątrz zakurzonego, ciemnego pomieszczenia starego budynku. Tylko ręczna latarka, rozpraszała panujący w nim mrok, a wiatr pogwizdywał zimnem. Bregg mówiąc do nich, chodził w tą i z powrotem, z tymi swoimi osobliwymi podrygami.

– To musi nieco potrwać, zanim uda nam się zebrać niezbędny zespół medyczny i przywieźć go tutaj – powiedział. – Będziemy musieli więc trochę poczekać.

– A co potem? – zapytał Kieran.

– Najpierw do … – Bregg użył w tym miejscu słowa, które niewątpliwie było nazwą jednego z miast Sakae, ale dla Kierana zupełnie nic nie znaczyło, – … a następnie na Altaira Dwa. Dalej, to już oczywiście będzie sprawa Rady.

Przerwał na chwilę i spojrzał na Kierana swoimi inteligentnymi, bystrymi oczyma.

– Stał się pan już poważną sensacją, panie Kieran. Całe społeczeństwo gwiezdnych światów jest już świadome nielegalnej resuscytacji jednego z pionierów astronautyki, co oczywiście wzbudziło olbrzymie zainteresowanie. – Ponownie zrobił krótka przerwę. – Pan sam, oczywiście, nie zrobił niczego niezgodnego z prawem. Nie może pan także zostać odesłany z powrotem, żeby dalej spać, a więc bez wątpienia rada będzie chciała pana wysłuchać. Jestem bardzo ciekaw tego, co chce im pan powiedzieć.

– Na temat Sako? – powiedział Kieran. – O … nich? – wskazał gestem w kierunku okna, przez które wiatr niósł odgłosy ożywienia, pochrząkiwanie i fukanie, siedzących w zagrodzie ludzi.

– Tak. Na ich temat.

– Powiem panu, jak ja to odbieram – powiedział Kieran stanowczym tonem. Zobaczył jak Paula i Webber nachylają się w ciemnościach do przodu. – Jestem człowiekiem. Ci ludzie tam na zewnątrz mogą być dzikusami, na tak niskim poziomie, jak zwierzęta, w tym stanie w jakim są, nieprzydatni do niczego. Ale są jednak ludźmi. Wy, Sakae, możecie być inteligentni, cywilizowani, rozsądni, ale nie jesteście ludźmi. Kiedy widzę pana, rozkazującego im jak dzikim zwierzętom, mam ochotę pana zabić. Tak właśnie to odczuwam.

Bregg nie zmienił swojego zachowania, ale wydał z siebie cichy dźwięk, który można było uznać prawie za westchnienie.

– Tak – powiedział w zadumie. – Obawiałem się, że tak właśnie będzie. Człowiek z pańskich czasów, człowiek ze świata na którym ludzie absolutnie dominowali nad wszystkim, musi to odebrać w taki właśnie sposób. – Odwrócił się i popatrzył na Paulę i Webbera. – Wydaje się, że wasz plan, przynajmniej pod tym względem, się powiódł.

– Nie, nie powiedziałbym tego – wtrącił Kieran.

Paula zerwała się na nogi.

– Ale przecież właśnie powiedziałeś nam jak to odczuwasz…

– I to wszystko jest prawdą – odparł Kieran. – Ale jest jeszcze coś jeszcze. – Przyglądał się jej z zamyśleniem. – To był naprawdę dobry pomysł. To powinno zadziałać. Człowiek z

moich czasów musiał to odbierać dokładnie w taki sposób, jak chcieliście żeby czuł, i powinien stąd odjechać wręcz wykrzykując slogany waszej partii, wierząc w nie całą swą duszą. Ale coś jednak przeoczyliście…

Przerwał, wyglądając przez okno na niebo, na lekko rozmyte kolory promieni gwiezdnego skupiska.

****

– Przeoczyliście fakt, że kiedy mnie obudziliście, nie byłem już dłużej człowiekiem z moich czasów, czy też w ogóle z jakichkolwiek czasów. Spoczywałem w ciemności przez sto lat, z moimi siostrami gwiazdami, a żaden człowiek nawet mnie nie dotknął. Być może to schładza ludzkie uczucia, może coś w głębi umysłu ciągle żyje i ma czas żeby trochę sobie pomyśleć. Tak, powiedziałem wam, jak to odczuwam. Ale nie powiedziałem wam, co o tym myślę…

Ponownie przerwał na chwilę, a potem powiedział:

– Ludzie tam w zagrodzie mają taką samą formę jak ja, i to powoduje, ze moja instynktowna lojalność należy do nich. Ale instynkt to jeszcze nie wszystko. On zatrzymałby nas na zawsze w błocie i pyle Ziemi, gdyby tylko zdołał. To rozum poprowadził nas na szerokie wody wszechświata. Instynkt mówi mi, że ci tam na zewnątrz, są ludźmi takimi jak ja. Rozum mówi mi, że to wy – tu spojrzał na Bregga, – którzy wyglądacie dla mnie odrażająco, którzy byście mnie przyprawili o dreszcze, gdybym was dotknął, ale którzy postępujecie racjonalnie, że to wy jesteście prawdziwymi ludźmi. Instynkt przez całe tysiąclecia czynił z Ziemi piekło. I mówię wam teraz, że powinniśmy zostawić go za nami tam, w błocie i w pyle, aby nie pozwolić mu zamienić w piekło gwiazd. Ponieważ, w miarę wychodzenia na coraz szerszy wszechświat nieustannie, ciągle i ciągle, napotykać będziemy ten sam problem, i aby go rozwiązać, nasze stare, zaściankowe poczucie ludzkiej lojalności musi zostać zmodyfikowane.

Spojrzał na Paulę i powiedział:

– Przepraszam, ale jeśli ktoś mnie zapyta, to właśnie to powiem.

– Ja również przepraszam – odparła ze wściekłością i przygnębieniem dźwięczącym w jej głosie. – Przepraszam, że cię obudziliśmy. Mam nadzieję, że nigdy w życiu już cię nie zobaczę.

Kieran wzruszył ramionami.

– Pomimo wszystko, to ty mnie obudziłaś. Jesteś za mnie odpowiedzialna. I oto tu jestem, stawiając czoła całemu nowemu wszechświatu. I będę cię potrzebował. – Podszedł do niej i poklepał ją lekko po ramieniu.

– Do licha z tobą – odparła. Ale nie odsunęła się od niego.

KONIEC